

SZTURN



Szturm miesięcznik narodowo-radykalny nr 31/2017 (4)

[Krzysztof Kubacki - „Nie umierajmy za Zachód”](#) [3-4]

[Michał Szymański – „Nie płakałem po Marynie”](#) [5-7]

[Witold Dobrowolski – „Nacjonalizm nieśmiały?”](#) [8-11]

[Leon Zawada – „Zwrot ku ludowemu nacjonalizmowi”](#) [12-14]

[Grzegorz Ćwik – „Bądźmy elitą”](#) [15-18]

[Karol Oknab – „Krytyka Polityczna. Anatomia szaleństwa.”](#) [19-25]

[Paweł Bielawski – „Kapitalizm realny i utopijny”](#) [26-31]

[Jakub Siemiątkowski - „Skąd bierze się kult UPA?”](#) [32-40]

[Jan Trzcński - „Bejtar, czyli historia żydowskiego „faszyzmu””](#) [41-44]

[Tomasz Kosiński – „Otto Strasser „Rola Europy””](#) [45-48]

[Patryk Płokita - „Od monarchizmu do nacjonalizmu - krótki opis irlandzkiej partii „Sinn Fein” w latach 1905-1921”](#) [49]

[Marek Kubiński - „Śmierć w blasku słońca”](#) [50-51]

[Adam Busse - „Recenzja pisma „Resist””](#) [52-53]

[Jan Trzcński – „Rozmowa z Tomkiem jednym z organizatorów Festiwalu Orle Gniazdo”](#) [54-58]

[Jan Trzcński - „Słowo o ekologii, czyli pytania do Greenline Front Poland”](#) [59-65]

Krzysztof Kubacki - „Nie umierajmy za Zachód”

Codziennie w internecie czy gdziekolwiek indziej widać różne grafiki, filmiki etc. na temat upadającego Zachodu. Wzdychamy, tęsknimy za tym co było dawniej, za wielkimi bohaterami i tymi potężnymi państwami, które znamy z podręczników od historii. Za tymi narodami – co niby powinny być dla nas wzorem. Chcemy za nich walczyć, proponujemy im pomoc, chcemy żeby brali z nas przykład. Zdegenerowane w naszym mniemaniu zachodnie społeczeństwa wymagają naszej pomocy, są dla nas narodami, które się zagubiły ulegając kaście polityków i modzie wszędobylskiego konsumpcjonizmu i wygody. Można by tak wymieniać i wymieniać. Choć jeszcze do niedawna wygłaszałem podobne poglądy i żal za tym co się obecnie na Zachodzie dzieje – zmieniłem zdanie. Musimy przede wszystkim zadać sobie pytanie: co dla Polski jest najważniejsze, czy takie zamartwianie się za innych ma jakikolwiek sens i czy opłaca nam się w ogóle cokolwiek dla tego, tak często zawodzącego nas Zachodu poświęcać? Mamy tyle własnych spraw na głowie, a o ile nie ulegniemy zachodowi w świecie kultury i dalej będziemy trzymać się własnych postaw i tradycji, ich częste cierpienia w postaci wybuchających bomb na ulicach nie będą naszym zmartwieniem.

Nie mówię o odwróceniu się plecami od zachodnich nacjonalistów, którzy od nas zawsze mogą liczyć na dobre słowo i nie tylko. Ale nie łudźmy się, zwykły mieszkaniec państw zachodnich ma gdzieś nie tylko Polskę, ale także cały nasz wschodni region. Ludzie zachodu nie mają pojęcia o naszej części Europy i niezbyt ich to interesuje. Ani nasza polityka, ani nasze społeczeństwo, ani to co dzieje się w Europie Środkowo-Wschodniej. To raczej oni patrzą na nasze narody dziwnym wzrokiem, czasem nawet z pewną iskrą wyższości. Tak jak my doceniamy Zachód, tak nie jest to do końca w drugą stronę. Dla narodów Zachodu, wschodni Europejczycy to tylko tania siła robocza, a jak wyglądają nasze państwa to już nie ich sprawa. Wiedzą tylko tyle co się gdzieś tam przypadkiem przewinie. Jeżeli oni mają nas w czterech literach, czemu my aż tak bardzo przeżywamy co się u nich na podwórku dzieje?

Nie wspominając już o polityce państw zachodnich chociażby względem Polski. Wiem, wiem – to tylko historia, ale jednak to z historii należy wyciągać wnioski. Choć i teraz Zachodowi zależy na pełnym kontrolowaniu naszej gospodarki, polityków przez różnorakie instytucje międzynarodowe. Bardzo często państwa wschodnie są przez Zachód traktowane jako króliki doświadczalne czy chłopcy na posyłki. Widać to nie tylko wewnątrz samej Unii Europejskiej, ale także w stosunkach z Rosją. Zachód bardzo lubi grać swoją kartą – bycia właśnie, po prostu, Zachodem. Spójrzcie u nas

na zakompleksionych przedstawicieli kawiorowej lewicy, wszelkiej maści liberałów, ale nawet na tych, którzy zwą się prawicowcami – im wystarczą jedynie fałszywe komplementy kogokolwiek z Zachodu, żeby paść z radości na kolana i krzyczeć do reszty – patrzcie no, jak nas ten postępowy Zachód chwali! Najgorzej, że takowymi kompleksami raczeni są wszyscy, którzy na którąś z tych grup natrafiają. Zachód używa takowych sztuczek przy wszelkich spotkaniach z przedstawicielami narodów wschodnich. Przyuważcie, co będzie się działo przy i po wizycie kogokolwiek ze świata Zachodu. Jedna pochwała i polityka u nas schodzi na drugi plan, przecież Zachód nas pochwalił i powiedział jaką drogą mamy iść, a przecież jak Zachód tak mówi to tak ma być! Oczywiście z mojej strony to jedynie ironia, ale niestety, niektórzy traktują polityczną grę i używane w niej sztuczki za prawdę absolutną, a za dobre słowo z Zachodu dali by się pociąć. Nie ma co się łudzić, może każda szpilka i każdy chaos na zachodzie nie jest dla nas taki zły? Skoro państwa zachodnie potrafią chaosy u nas wykorzystywać perfekcyjnie.

Zachód zawsze nas kopnie albo przytuli – zależy od tego czego chce. W zachodnich krajach nie ma, tak jak u nas, jakiejś lojalności w polityce czy innych pierdół. Zachód jest bezlitosny i zawsze taki był. To czego powinniśmy nauczyć nasz naród to wyczulenia na popadanie w kompleksy względem ludzi tzw. Zachodu. Wschodnia Europa jest piękna, z piękną historią – ta historia zachodniej Europy, przede wszystkim dawne czasy, zawsze będą nam bliskie, ale żyjąc dzisiejszą rzeczywistością i tym co dookoła się wyprawia – jeszcze bardziej powinniśmy, jakby to ująć – zatopić się we własnej tożsamości, poznać ją jeszcze bardziej, jeszcze lepiej poznać historię nie tylko Polski, ale także innych krajów nam sąsiadujących, aż po same Bałkany. Wschód jest piękny i to z nim właśnie powinniśmy coraz bardziej się utożsamiać. Pozdrawiamy naszych kolegów, zachodnich nacjonalistów, ale czas skupić się na sobie – na Polsce i na możliwościach dookoła jakie mamy i przestać być marionetką Zachodu. A przede wszystkim robić swoją niezależną politykę.

Nie bierzmy na swoje barki walki za Zachód, skoro tamtejsze narody twierdzą, że wszystko jest OK, albo same z siebie nie umieją przeprowadzić zmian we własnych państwach. Wyciągajmy z tego wszystkiego co najlepsze dla nas, starajmy się prowadzić interesy z Zachodem jedynie z korzyści jakie mogą z tego dla nas wyniknąć, bądźmy czujni na ich zagrywki. Oczywiście przykro jest słyszeć o kolejnych zamordowanych w zamachach, ale to nie my sprawiliśmy, że tak jest i to nie my powinniśmy starać się to odkręcić. To niech oni się martwią. Naprawdę, nie umierajmy za Zachód.

Michał Szymański – „Nie płakałem po Marynie”

W czasie gdy ja późną nocą piszę niniejszy tekst Francja nadal żyje kampanią wyborczą która rozstrzygnąć ma o tym kto przez najbliższe kilka lat sprawować będzie urząd prezydenta Republiki. Na chwilę obecną wszystko wskazuje na to (a co, zapewne, się potwierdzi), że słodka Francja kierowana będzie przez swoistego odpowiednika naszego nadwiślańskiego Ryśka Petru, oczywiście, z racji na prestiż państwa, o wiele bardziej glamour od naszego słowiańskiego liberała. Oznacza to tym samym, że aktualna lider Frontu Narodowego, Marine Le Pen, nie stanie się europejskim odpowiednikiem Donalda Trumpa i - na złość liberalnemu establishmentowi - nie sięgnie po władzę.

Zapewne młodszy czytelnicy naszego pisma nie zdają sobie sprawy z faktu, że - wbrew pozorom - nie jest to pierwszy przypadek kiedy to przedstawiciel Frontu znajduje się w drugiej turze wyborów prezydenckich. Kilkanaście lat temu ojciec Marine, Jean-Marie Le Pen, wbrew wszelkim przewidywaniom, również walczył w dogrywce o stanowisko prezydenta, przy czym w tamtych czasach, gdy nacjonalizm był totalnie na cenzurowanym, a w Polsce manifestacja o profilu narodowym zgromadziłyby w dużym mieście pokroju Warszawy, Krakowa czy Poznania maksymalnie kilkunastu skinheadów a i to uznane zostałyby za wielki sukces polskiego ruchu narodowego, taki stan rzeczy był dla całej Europy czymś wyjątkowo wręcz szokującym. Fakt, że Marine znajduje się wciąż w grze jest zaś faktem który nikogo nie szokuje.

W przeciwieństwie do starego Le Pena, o którym powiedzieć można było wiele dobrego, gdyż w tych ponurych czasach był istnym diamentem (w czasach gdy Unia Europejska traktowana była jako największa świętość on bezlitośnie ją krytykował, gdy tolerancję odmieniano przez wszystkie możliwe przypadki stary nacjonalista tłumaczył dziennikarzom, że deportując imigrantów z Francji nie będzie pozbawiony serca i nie będzie rozdzielać algierskich rodzin, po prostu wraz z rodzicami odsyłać będzie również dzieci, o jego wypowiedziach dotyczących narodu którego krytykować nie wolno nawet nie będę wspominał, zapewne nawet dzisiaj niejedynemu nacjonalista zawahałby się czy tak jadowicie go zaatakować) sukcesy wyborcze aktualnej liderki partii to w zasadzie jedyny pozytywny jaki można w niej odnaleźć. Słowa, że jest to francuski odpowiednik Donalda Trumpa, nie użyłem bowiem przypadkowo.

Szeroko pojęta "radykalna prawica" czy też, jak to mówią salonowi dziennikarze, "prawicowi populiści" (niespecjalnie przepadam za tym pojęciem, z drugiej strony owego "radykalizmu" jest tu tak niewiele, że faktycznie trzeba znaleźć jakieś określenie na to zjawisko, nie wiem tylko czy ów "populizm", będący formą stygmatyzacji, jest odpowiedni, zostawmy to jednak na boku) tacy jak Trump, Le Pen, a także chociażby Nigel Farage nie jest, z naszego punktu widzenia niczym ciekawym. Zapewne część czytelników, ja sam się w ten schemat wpisuję, w pewnym momencie zechciałem uwierzyć, że Donald Trump akurat być może faktycznie postanowi zrealizować swoje postulaty a przynajmniej niektóre z nich były ciekawe więc nawet zacząłem trzymać za niego kciuki. Zresztą, amerykańscy nacjonaści spod znaku tzw. alt-right również uwierzyli, że być może

jednak ów Trump coś dobrego do polityki wniesie, czego wyrazem był słynny już okrzyk radości "chwała Trumpowi, chwała naszemu narodowi, chwała zwycięstwu!". Dzisiaj chyba nikt nie łudzi się co do tego, że poza chwilowym wywołaniem, pardon my French, gigantycznego bólu dupy u liberalnego establishmentu niczego dobrego z jego prezydentury raczej nie będzie.

Marine Le Pen jest względem nas o wiele uczciwsza. Tak się szczęśliwie składa, że właśnie dzisiaj obejrzałem sobie wywiad sprzed roku jaki przeprowadził z nią słynny w konserwatywnym środowisku Adam Wielomski który to na sam koniec wywiadu, skupionego głównie na (czemu nas to nie dziwi?) kwestii rosyjskiej postanowił podpytać liderkę Frontu czy prawdą jest, że nie chciała być w jednej frakcji z Januszem Korwinem-Mikke. Z rozbajającym uśmiechem Marine wyjaśniła, że owszem gdyż jego wypowiedzi są skandaliczne i robi on wiele złego. Jakkolwiek nie podchodziłbym krytycznie do postaci JKM-a to nie ukrywam, że wypowiedź ta wyjątkowo mnie zażenowała gdyż doskonale pokazuje jak bardzo Le Pen pragnie być politycznie poprawna i unikać wszelkiej "kontrowersji" (z wyjątkiem, naturalnie, kwestii islamskiej). Nie planuję w najbliższym czasie oddawać głosu na pana Janusza nie mniej jednak przy tej ugrzecznionej, wyłagodzonej, centrystycznej do bólu Marine lider polskich kolibrów wydał mi się nagle postacią sympatyczną. Wniosek z tego prosty - tym bardziej nie ma co podniecać się Le Penową.

Ktoś może powiedzieć - no dobrze, ale jednak alternatywą jest to, że władzę we Francji sprawować będzie jakiś liberał. Hm, doprawdy? Lider Frontu Narodowego sprzeciwia się islamizacji Francji tylko dlatego, że domaga się utrzymania świeckości państwa (nie trzeba być zwolennikiem katolickiego totalizmu czy ultramontańskiego konserwatyzmu by stwierdzić, że ta narracja niczym się nie różni od narracji demoliberalnej) które ma być "neutralne światopoglądowo", sprzeciwia się ograniczeniu prawa do aborcji (tutaj ponownie - nie trzeba być zwolennikiem całkowitego zakazu aborcji aby stwierdzić, że trochę to się kłóci z naszymi przekonaniem, zresztą, ta narracja to po prostu wynik strachu przed utratą poparcia elektoratu innego niż najbardziej konserwatywny obyczajowo - a zatem jest to przyjęcie poglądów wroga), publicznie rugała swojego ojca za obronę marszałka Petaina (przypomnijmy, że socjalistyczny prezydent Mitterand, za młodu konserwatywny katolik i członek narodowo-radykalnej organizacji Croix-de-Feu a podczas II wojny światowej urzędnik w administracji Francji Vichy, miał odwagę sprawując najwyższy urząd w państwie składać kwiaty na grobie dyktatora oddając mu honory za bohaterstwo jakim wykazał się podczas I wojny - niewykluczone, że Marine prędzej złożyłaby kwiaty antyfaszystom schwytanym przez Milicję niż ostatniemu autentycznie prawicowemu przywódcy słodkiej Francji), jest bardzo dumna z faktu, że udało się jej wyciąć wszelkie radykalizmy z łona partii (włącznie z wyrzuceniem z niej własnego ojca) a ocieplanie wizerunku prowadzi do tak groteskowych sytuacji jak wystawianie na listy wyborcze osób o, delikatnie to ujmując, ciemniejszej karnacji niż skóra Ludwika IX - i to nawet w czasie jego krucjat.

Oczywiście, daleko mi do sprowadzania polityki tylko i wyłącznie, dajmy na to, do skrobanek nie mniej jednak mając w pamięci jak wyglądał Front Narodowy kilka lat temu nie mogę nie czuć niesmaku wobec Maryny. Pójdźmy jeszcze dalej - paradoksalnie w wielu kwestiach konserwatywny

Fillon (reprezentant centroprawicowej, stricte systemowej UMP) wygłaszał poglądy o wiele bardziej "na prawo" czy bardziej zgodne ze światopoglądem jaki ja oraz zapewne większość czytelników wyznaje od kandydatki "skrajnej prawicy" z "faszyzującego" Frontu Narodowego. Marine Le Pen doprowadziła do tak groteskowej sytuacji, że Front chyba tylko z racji na swoją wieloletnią historię bycia czarną (w wielu znaczeniach tego słowa) owcą francuskiej polityki traktowany jest jako największe zło, ekstremizm i faszyzm podczas gdy jego program w znacznej mierze bywa o wiele mniej radykalny niż program centroprawicy.

Marine Le Pen najprawdopodobniej wybory przegra. Oczywiście, radość naszych wrogów zawsze jest frustrująca, nie mniej jednak uważam, że powinniśmy wyrosnąć z myślenia tylko i wyłącznie o tym by politykę traktować jedynie w kategoriach bólu tylnej części ciała. W gruncie rzeczy nie jest to nasza kandydatka a jej ewentualne porażki polityczne byłyby wyłącznie kompromitacją idei nacjonalistycznej z którą jest ona (niesłusznie) utożsamiana. Wobec wszelakiej maści prawicowych populistów zachowajmy należyty dystans - jeśli, tak jak kilka miesięcy temu Trump, przejmować będą władzę a potem jeszcze zaczęliby zmieniać świat na lepsze to wówczas można zerkać na nich z odpowiednią życzliwością. Jeśli jednak będziemy z nimi utożsamiani, a oni nie tylko nie będą realizować naszych postulatów, ale przy okazji jeszcze się skompromitują (a politycy bardzo lubią to robić, mają to we krwi) to przy okazji będziemy musieli świecić oczami za rzeczy z którymi nie mieliśmy nic wspólnego. No, a wtedy domyślcie się jaka świetlana przyszłość czeka nacjonalizm na rynku idei.

Witold Dobrowolski – „Nacjonalizm nieśmiały?”

Wydawałoby się, że dzięki wręcz tytanicznej pracy nacjonalistów w ostatnich latach ruch przeżywał najlepszy okres w swojej powojennej historii. Powstał szeroki ruch społeczny, organizacje narodowe doświadczyły rozkwitu, a marsze narodowców które wcześniej gromadziły w najlepszym razie kilkaset osób, liczebnie zaczęły sięgać tysięcy. „Narodowy historycyzm” także odniósł niekwestionowany sukces, kwestia Żołnierzy Wyklętych i udziału narodowców w II wojnie światowej urosła do rangi państwowej, pozytywnie odnoszących się do działalności nacjonalistów publikacji w czołowych polskich wydawnictwach pojawiły się dziesiątki. Na ulicach polskich miast trudno nie spotkać osób ubranych w patriotyczną, nacjonalistyczną odzież. Pojęcie „narodowiec” przestało się kojarzyć z subkulturą, co więcej zatraciło cechy pejoratywne, czego skutkiem jest fakt, że wiele młodych ludzi otwarcie nazywa się narodowcami i wcale nie będzie prowadzić to do ostracyzmu. Jednak szeroki front społeczny, jeśli w ogóle zdążył zaistnieć, rozpadł się.

Dynamiczny rozwój organizacji narodowych w najlepszym wypadku się zatrzymał i nastąpiła swoista stagnacja. Wraz z końcem ulicznych walk ze skrajną lewicą i policją na usługach liberalnego rządu inicjatywa łącząca środowiska narodowe Marsz Niepodległości zatraciła radykalne oblicze i pojawiło się pytanie bez odpowiedzi: jak dalej wykorzystać potencjał tej całej inicjatywy? Chcąc odzyskać niedawny pęd organizacje narodowe zaczęły słusznie podejmować na fali kryzysu migracyjnego tematykę obrony Polski przed przybyszami z Afryki i Bliskiego Wschodu i pod hasłami tej obrony faktycznie gromadziły się w całej Polsce tłumy. Okazało się, że nowy polski rząd również wykorzystał antyimigracyjne nastroje i stał się w pewien sposób wręcz gwarantem, że za jego kadencji Unia Europejska nie zmusi Polaków do przyjmowania absurdalnych kwot tzw. „uchodźców”. Ta, jakby nie patrzeć zbawienna postawa rządzących, oraz nawiązanie współpracy UE z Turcją w sprawie powstrzymania imigracji sprawiły jednak, że ten temat nie stanie się nowym motorem dla nacjonalizmu (przynajmniej przez najbliższe „bezpieczne lata” nowego rządu). Potem były słuszne protesty przeciwko umowie handlowej CETA, oraz pikietki wymierzone w imigrację z Ukrainy. Te ostatnie pod względem mobilizacji, mimo masowej reklamy okazały się delikatnie ujmując po prostu skromne. Porównując z akcjami związanymi z imigrantami spoza Europy mającymi miejsce ponad rok temu, ujawniła się wręcz słabość polskiego ruchu nacjonalistycznego i brak konkretnych działań na rzecz rozwiązywania problemów, a jedynie zwracanie na nie uwagi. Okazało się również w tle podjęcia tematu imigracji z Ukrainy, że ludzkie masy udające się na Marsz Niepodległości bombardowane internetowymi memami, niejasnym stanowiskiem, bądź działalnością narodowych posłów, czy artykułami różnych portali z „narodowy” w nazwie, których całą treść można odczytać w ich tytułach, wcale nie są inni od zwolenników lidera partii Korwin/Wolność. Walka z kapitalizmem, liberalizmem gospodarczym, podnoszenie spraw socjalnych nie spotyka się z ich strony ze zrozumieniem, co nie powinno być żadnym zaskoczeniem. Czy w takiej sytuacji nacjonaści powinni dostosować się do tych osób odchodząc od antykapitalistycznych, antyliberalnych poglądów? Czy powinni organizować kolejne manifestacje w „modnych” tematach, by znów rozwijać swoje formacje? Moim zdaniem nie.

Nacjonalizm w Polsce powinien przestać się kojarzyć ze skrajnym historycyzmem, wolnościowym podejściem do gospodarki (a może niższe podatki!), kółkiem różańcowym, czy organizowaniem pikiet i marszy. Nacjonalizm powinien kojarzyć się z nieustanną aktywnością na polu politycznym i społecznym, konkretnymi postulatami za którymi idzie realna działalność, powinien podejmować kwestie dotyczące codziennych problemów zwykłych Polaków, których nie zainteresuje się książkami Dmowskiego, wlepkami, czy memami, a realną obecnością i wyciągniętą do nich pomocną dłoń. Kwestie licznych upamiętnień, organizacji marszy pamięci należy pozostawić inicjatywom pielęgnującym historię jak np. Związek Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, ewentualnie sekcjom historycznym, gdy struktura organizacji na to pozwala. Jednak w żadnym wypadku nie powinna to być większość, a nawet połowa działalności narodowców. Równocześnie nie powinno się oczywiście odrzucać historycznych ideologów i autorytetów nacjonalizmów europejskich i ich dziedzictwa, to wszystko przecież nas kształtuje na żołnierzy politycznych, z zastrzeżeniem, że dawnych narodowo-rewolucyjnych idei nie będzie się kopiować popadając w rekonstrukcję historyczną, a słusznie aktualizować, by znaleźć dla nich miejsce w XXI wieku.

Jeśli chodzi o kwestie ekonomiczne i działalność społeczną to najlepszym przykładem dla nacjonalistów w Polsce będzie lewica, która przeżywa mimo znalezienia się poza parlamentem renesans. Konkretnie lewica w postaci partii „Razem”. Pomijając oczywiste z punktu widzenia nacjonalisty, bądź konserwatysty odrzucające postulaty obyczajowe, czy po prostu ciężki, prymitywny antyfaszyzm to trzeba przyznać, że popularność „Razem” zdobywa przede wszystkim na podnoszeniu kwestii ekonomicznych, które są ich sztandarowym tematem, oraz na kwestiach społecznych i ekologicznych grając często na tematach wywołujących emocje, ale niepodjęmowanych przez narodowców. Dotykając realnych problemów bliskich tzw. prekariatowi, wyzyskiwanym robotnikom i pracownikom spółek publicznych, realna obecność w życiu swojego miasta, dzielnicy, uczelni połączona z charakterystyczną i dobrze zorganizowaną propagandą w mediach społecznościowych prawdopodobnie da „Razem” możliwość wejścia do Sejmu przy następnych wyborach parlamentarnych. Równocześnie od posłów narodowych usłyszymy częste wypowiedzi postulujące niskie podatki, sprzeciw wobec pensji minimalnej, albo o zagrożeniu „antypolskim banderyzmem”. Trzeba przyznać, że ogromnym wstydem dla środowiska narodowego był fakt, że przykładowo to nie Ruch Narodowy wyszedł z inicjatywą wsparcia socjalnego w postaci „500 plus”, a demoliberalne „Prawo i Sprawiedliwość”, a przecież to narodowcy, nacjonaści powinni hasła socjalne mieć jako hasła przewodnie. Bowiem to wielodzietna polska rodzina jest najważniejszym fundamentem trwania Narodu, to ona musi być opoką ekonomii państwa, a owe wsparcie traktować należy po prostu jako inwestycję w polski Naród, bowiem problemy demograficzne, które przeżywamy zarówno my i inne narody Europy mogą doprowadzić do stałych zmian etnicznych, a więc i konfliktów, kryzysów w najgorszym razie takich jak na Zachodzie Europy. Tym bardziej, że przecież hasła socjalne de facto dały PiS zwycięstwo, co dowodzi, że ta droga politycznie była i jest korzystna (nie mówiąc o tym, że krytykujące ten projekt, inne partie szybko przyjęły „500 plus” do swoich programów).

Wydawać się może, że powyższą tematykę środowisko narodowe podejmuje w sposób nieśmiały, stąd też tytuł tego artykułu. Z jednej strony pojawiają się hasła narodowo-solidarystyczne, z drugiej

strony nie wspiera się chociażby w Warszawie wyzyskiwanych, zdesperowanych pocztowców zdradzonych przez związki zawodowe, pozostawiając tutaj pole do działania anarchistom, którzy tylko czekają na okazję do działania i wykorzystują ją w pełni. Oczywiście trudno zanegować, że nacjonaści brali udział w pojedynczych protestach rolników, czy górników, ale przyznać trzeba że to kropla w morzu działalności, która powinna się na tym skupiać. W kwestii imigracji ukraińskiej zwrócono jednorazowo uwagę pikietami na tą problematykę, za czym jednak nie doszło do realnych działań, a możliwości jest naprawdę wiele: stygmatyzowanie przedsiębiorców i korporacji wyzyskujących lub ściągających imigrantów z Ukrainy, postulowanie bardziej rygorystycznych przepisów w wydawaniu Kart Polaka, dążenie do tego, by polskie związki zawodowe zwalczały wyzysk pracowników ze wschodu (by bardziej korzystne było zatrudnienie Polaka w Polsce, a nie Ukrainca), czy z rozpoczęciem współpracy na tym polu z chętnymi do współdziałania ukraińskimi nacjonalistami, którzy doskonale sobie zdają sprawę, że imigracja ich rodaków do Polski uderza w ukraińskie państwo i gospodarkę. Krytyka Unii Europejskiej nie może się ograniczać do haseł zniszczenia tego tworu, czy polegać na ciągłym oczekiwaniu, aż w końcu ten układ się rozpadnie, możliwości dla nacjonalistów na konstruktywną krytykę i odpowiedź w postaci konkretnych rozwiązań jest wiele. Przykładowo rozwiązanie problemu żywności gorszej jakości Europy Środkowo-Wschodniej względem Zachodu. Węgierski Jobbik stworzył świetną (jeśli nie przełomową) międzynarodową inicjatywę na rzecz wyrównania płac w Unii Europejskiej. Na spotkanie na ten temat zaproszono nacjonalistów z Chorwacji, Polski, Słowacji, Rumunii, Bułgarii, Łotwy i Estonii. Co ciekawe polscy narodowcy mimo swojego pobytu w Budapeszcie w owym czasie nie pojawili się na tym spotkaniu co trudno w jakikolwiek sposób wytłumaczyć, bądź usprawiedliwić.

Inną kwestią jest ekologia, wcześniej ten temat podejmowano w środowisku w ramach pojedynczych akcji jak zbiórka na karmę dla schroniska psów, w ostatnim czasie na tym polu pojawiły się nieśmiałe zmiany. Zaczęły powstawać nowe inicjatywy jak Green Line Front polska sekcja, dla którego działalność ekologiczna jest działalnością przewodnią, równocześnie Młodzież Wszechpolska przeprowadziła ekologiczną kampanię na portalach społecznościowych, która nie ograniczyła się do wrzutki internetowej, a w niektórych kołach do regularnego sprzątnia lasów, czy okazjonalnego sadzenia drzew (miejmy nadzieję, że obecny lub przyszły rząd ich nie wytną). Postulaty ekologiczne, czy walka o prawa zwierząt są w Polsce kojarzone z lewicą, a większość największych organizacji podejmujących te tematy przenika się ze środowiskami blokującymi Marsz Niepodległości w latach 2010 i 2011. Taka sytuacja nie może trwać wiecznie, bowiem z jednej strony są to tematy nośne, wywołujące dużo emocji, a więc i dające możliwość zdobycia większego kapitału politycznego, a z drugiej strony dbanie o naturę, środowisko powinno z góry być obowiązkiem nacjonalisty. Ktoś niemądry na prawicy powie, że smog to przecież niemiecki wynalazek, który ma likwidować nasze kopalnie węgla i tanie piece, bez których Polak zamrznie zimą i podobne powielane memami głupoty. Tutaj powinien pojawić się nacjonalista jako autorytet i rzeczowo wyjaśnić dlaczego jednak to jest problemem, który trzeba rozwiązać. Trujące powietrze w dużych miastach, a nawet małych jest faktem, również jest faktem, że rząd i władze miast niewiele z tym robią. Walka o czyste powietrze i zdrowie Polaków powinna być ze strony narodowców podejmowana regularnie, a nie zbywana ręką. Darmowa komunikacja miejska, ograniczenie liczby samochodów w centrach miast jako rozwiązania tymczasowe lub stałe, alternatywne źródła energii,

nowoczesne filtry czy finansowanie wymiany pieców powinny być oczywistymi postulatami nacjonalistów. Kwestia praw zwierząt w postaci zakazu masowej hodowli zwierząt, która jest niemoralna, ale i pożywienie pochodzące od zwierząt masowego chowu jest po prostu złej jakości – to także powinien być stały postulat środowiska narodowego. Tym bardziej, że rozszerzenie postulatów o walkę o podwyższenie kar za znęcanie się nad zwierzętami, wpisanie koni na listę zwierząt towarzyskich, albo delegalizację hodowli na futra sprawi po prostu sprawi, że pewna luka na szeroko pojętej „prawicy” zostanie domknięta.

Omówiłem pokrótce tylko kwestie socjalne, pracownicze i ekologiczne, jednak problemów które powinien podejmować nacjonalizm, a które dotyczą rzeczywiście społeczeństwa, jest dużo więcej. Pierwsze z brzegu prawa kobiet, czy podejmowano ten temat szerzej w środowisku nacjonalistycznym? Równość płac? Urlop menstruacyjny dla kobiet mających trudności w czasie miesiączki? To celne uderzenie w środowiska feministyczne, które zapomniały dawno o realnych problemach i najważniejszym postulatem obecnie pozostaje zliberalizowanie prawa aborcyjnego. Inne kwestie to wspieranie niepełnosprawnych, edukacja, kwestie zdrowotne, działalność nacjonalistyczna na uczelniach (w ostatnim czasie powstały trzy konserwatywno-narodowe inicjatywy na uczelniach, warto kibicować by działalność dotyczyła realnych problemów studentów, oraz obrony wartości narodowych, a nie historycyzmie), aktywność w życiu lokalnej społeczności (obecny system daje wiele narzędzi nacjonalistom np. możliwość proponowania władzom miasta na jakie cele może wydać korzystniej swój budżet), tutaj nacjonałiści oczywiście nie powinni się ograniczać jedynie do postulowania zmian nazw ulic. Między innymi właśnie z powyższą działalnością powinien być kojarzony nacjonalizm.

Równocześnie uznać należy, że nacjonalizm powinien być kojarzony z radykalną, bezkompromisową działalnością w obronie wartości z góry bliskich polskiemu Narodowi, a tym samym wartości bliskich społeczeństwu. Dlatego też pochwalić trzeba rosnącą liczbę akcji bezpośrednich wykonywanych przez środowisko nacjonalistyczne w ostatnich miesiącach. Ostatnia mająca miejsce w Warszawie w postaci blokady błuźnierczego spektaklu przez działaczy Młodzieży Wszechpolskiej, Obozu Narodowo-Radykalnego, Ruchu Narodowego oraz Szturmowców w postaci redaktorów, oraz sympatyków miesięcznika „SZTURM” pokazuje, że jednak nacjonałiści potrafią nadal działać radykalnie i stanowczo. Nacjonalizm w Polsce może stać w miejscu i nie rozszerzać swojej działalności, największe organizacje narodowe mimo tego będą istnieć za rok i za dziesięć lat. Jednak najważniejszym nie jest, by po prostu trwać, naszym obowiązkiem jest walka o lepsze jutro, a drogą do celu musi być śmiałość i zdecydowanie. Konkretnie postulaty, propozycje rozwiązań w odpowiedzi na problemy, brak strachu wobec radykalnych działań, aktywne uczestniczenie w życiu obywatelskim. Odrzucenie historycyzmu jako fundamentu działalności, oraz ograniczania się do pikiet i marszy w przypadku realnych problemów i zagrożeń. Nasz polski nacjonalizm musi być śmiały i nie może bać się zaistnieć w taki sposób w przestrzeni publicznej, by stać się wręcz pożądanym dla społeczeństwa.

Leon Zawada – „Zwrot ku ludowemu nacjonalizmowi”

Nacjonalizm to idea awangardowa. Do jego założeń nie należy przyjmowanie stałych, niezmiennych pryncypiów, nie mogących zmieniać się w czasie, ponieważ jego zadaniem jest nakreślenie aktualnych potrzeb narodu oraz wystosowanie wobec nich skutecznej odpowiedzi. Nie może, zatem dziwić zmiana określonych poglądów czy orientacji pod wpływem czasu i doświadczenia. Zmiany takie są wręcz pożądane. Nie świadczą one wcale o niestałości idei, dopóki nie naruszają one jej fundamentów, do których należy uznanie prymatu narodu i jego interesu jako dominującego dobra politycznego. Pojęcie to jest na tyle nieostre, że pozwala na wiele interpretacji różniących się od siebie diametralnie. Dla nas – nowoczesnych nacjonalistów, do podstaw ideologicznych należy rezurekcja suwerenności państwowej, powstrzymanie degradacji rodzimej kultury oraz wychowanie narodu w duchu patriotyzmu, aktywizmu, solidarności społecznej i dbałości o środowisko naturalne, a także obrona jasnych postaw etycznych opartych o klasyczne i chrześcijańskie dziedzictwo cywilizacyjne. Jak już było wspomniane, zachowując powyższe wartości, postawy wobec konkretnych problemów należy jednak dostosowywać do konkretnych momentów historii.

XXI wiek to czas relatywnego spokoju w stosunku do lat wcześniejszych. Na chwilę obecną, Ojczyzna nie wzywa nas do okopów ani nie wymaga męczeństwa. Nie oznacza to jednak, że mamy moralne prawo spocząć na laurach i przestać interesować się losem narodu. Spoczywa na nas bowiem oddany nam przez przodków obowiązek pozostawienia własnego kraju przyszłym pokoleniom miejscem lepszym, niż jakim go zastaliśmy. Dzisiejsze zagrożenia nie mają, co prawda charakteru wyzwań fizycznych, nie ma jednak powodów, żeby nie mówić o konieczności walki innego rodzaju. Walka ta toczy się głównie na dwóch polach. Socjalnym oraz kulturowym. Pierwsze to niewola kredytowa, niskie płace, trudności w utrzymaniu rodziny, często konieczność emigracji za chlebem czy też niesprawiedliwe prawo. Druga, z kolei opiera się sukcesywnej degeneracji narodowej, europejskiej oraz chrześcijańskiej kultury przez kulturowy marksizm. Za przykład stanowić może na przykład frekwencja na proaborcyjnych protestach czy też ostatnie „sztuki” teatralne promowane przez polskojęzyczne media. Co raz bardziej wspierana przez państwa, instytucje międzynarodowe i zagraniczny kapitał degeneracja sprzyja interesom tego ostatniego. Pozbawienie narodów związku z ich historią oraz wartościami moralnymi sprzyja zamianie ludzi w kapitał ludzki, który można w dowolne miejsce relokować. Walka na froncie kulturowym staje się zatem kluczem, również do problemów społecznych czy kryzysu imigracyjnego. Współczesny nacjonalista może posiadać, jednak dawno zapomnianego sojusznika, w którym skryte są istotne, wartościowe aspekty kulturowe.

Nacjonalizm w swoich początkach przejawiał tendencje unifikacyjne. Wynikało to przede wszystkim z koniecznością spojenia lokalnych żywiołów w jeden organizm narodowy. Co prawda, polski nacjonalizm związany jest z jakobinizmem jedynie pośrednio, jednak do dziś część nacjonalistów z niechęcią patrzy na lokalne kultury widząc w nich potencjalny separatyzm. Sądzę jednak, że oprócz paru niechlubnych wyjątków jest to trend marginalny wśród regionalistycznych

działaczy w Polsce. Swojego czasu regionalizm próbowały zawłaszczyć środowiska konserwatywne, pokładając nadzieję na odtworzenie relacji społecznych z czasów ancien regime. Próby te okazały się nieudane. Oderwanie w dzisiejszych czasach kultury ludowej od tożsamości narodowej jest bowiem mrzonką. W tym tkwi właśnie potencjał, nad którym pochylić się powinien nowoczesny nacjonalizm. Współczesne czasy trawi kryzys tożsamości. Sama ludowość, z kolei nie jest zaprzeczeniem narodowości. Kultura ludowa to element ubogacający ją. Co więcej, najczęściej zachowuje ona w sobie wartości bliskie nacjonalistom, do których należy tradycyjne podejście do rodziny, szacunek wobec natury czy przekazywana pokoleniowo pamięć o istotnych wydarzeniach. Pozwala to na uczynienie z niej alternatywy dla zdegenerowanej antykultury płynącej ze swoich dominujących ośrodków. Przeciwnie do nacjonalistów obawiających się ludowości, sądzę, że związanie człowieka z regionem wytapia dodatkowe ogniwo wiążące go również z narodem. Warto również zaznaczyć, że naród jest właśnie dzieckiem ludu, który jest wobec niego pierwotny.

Tożsamość narodowa wzbogacona o komponenty regionalne posiada szerszy wachlarz środków, które może wykorzystać w boju przeciwko kulturze masowej. Promowany młodym ludzom tygiel melting pot do pary z konsumpcjonistycznymi antywzorcami przyczynia się tylko i wyłącznie do realizacji interesu kulturowych marksistów oraz wielkich korporacji. Jak zatem przeciwstawić ludowość kosmopolityzmowi? Przede wszystkim, zacząć należałoby od odbudowy zainteresowania rodzimą kulturą. Swoisty zwrot ku ludowi mógłby odbywać się na deskach teatrów, szkolnych salach, a nawet internecie. Jak pokazały ostatnie wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych, w internecie spoczywa olbrzymi potencjał wpływania na nastroje społeczne. Warto od razu przestrzec przed błędem popełnionym swojego czasu przy promocji historii Żołnierzy Wyklętych w formach popkulturowych. O ile, prawdopodobnie przyniosło to częściowo dobre owoce wyciągając zapomniany temat na ulice, o tyle, niewystarczająco zadbano o odniesienie walki Niezłomnych do misji jaka spoczywa na patriotach współcześnie. Podobnego błędu nie można popełnić przy wspomnianym zwrocie ku ludowi. Nie należy odrywać samej ludowej formy od wartości, które ze sobą niesie. Przy tym, mimo wszystko, popieram wykorzystanie motywów ludowych przy tworzeniu nowoczesnej muzyki czy grafiki, zabiegając jednak o to aby sprzyjało to określonym celom narodowym i społecznym.

Następnym krokiem formacji nowoczesnego nacjonalizmu jest poznanie etnopluralizmu. Postawa ta zakłada poszanowanie dla innych kultur oraz społeczności przy zachowaniu prymatu dbałości o interes własnej. Można powiedzieć, że jest to rozciągnięcie regionalizmu do szerszej skali. Etnopluralizm jest najbardziej wyrazistą cechą odróżniającą pierwotny nacjonalizm od nowoczesnego nacjonalizmu. Aktywista posiadający zdolność odróżnienia realnych problemów od archaicznej demagogii powinien zdecydowanie odrzucać etniczny szowinizm. Nasz nacjonalizm nie polega na pogardzie wobec innych narodów ani poczuciu wyższości wobec nich, lecz na patriotycznej miłości wobec własnej Ojczyzny i narodu. Nie ma dziś żadnych usprawiedliwień dla podsycania nienawiści między europejskimi narodami. To nie one są wrogami naszej Ojczyzny. Warto uzmysłwić sobie komu na rękę są kolejne konflikty tego typu, kto na tym zyskuje, a kto traci. Czy naprawdę w obecnej sytuacji potrzebujemy kolejnych zniszczeń, bratobójczych walk i

następnych wewnątrzkontynentalnych kryzysów migracyjnych? Etnopluralizm to kompletna alternatywa dla globalizmu. Przecież podróżując po świecie nie chcemy wszędzie natykać się na to samo, jeść identycznego jedzenia i słuchać popularnej muzyki. Nie powinniśmy śladem kolonistów pogardliwie narzucać własnej kultury ościennym narodom. Na tym polega prawdziwa różnorodność. Nie ta promowana przez liberałów i Unię Europejską zamieniająca świat w jednolite bagno, a prawdziwie szanująca odrębność tożsamościową każdego kto takową posiada. Wszyscy równi? Każdy u siebie!

Kończąc ten tekst pragnę podkreślić konieczność odbudowy narodowej kultury i obrony jej przed napływającymi antynarodowymi trendami. Kultury opartej o historię narodu, klasyczne dziedzictwo cywilizacyjne, religię chrystusową oraz regionalizm. Jednocześnie nie tworząc wyimaginowanych, megalomańskich mrzonek o rewizji granic czy niższości innych kultur. Przed nami wyzwanie, które musimy unieść na barkach, jeżeli chcemy nazywać się nowoczesnymi nacjonalistami.

Folk the system!

Grzegorz Ćwik – „Bądźmy elitą”

„Idzie nowe pokolenie, niesie Polsce odrodzenie”. Każdy polski nacjonalista słyszał ten slogan, większość pewnie w tych czy innych okolicznościach go skandowało. Jeśli jednak zatrzymać się nad nim chwilę i zastanowić, to dojdziemy do ciekawych wniosków. Otóż poza propagandową nośnością, kryje się za tym prawdziwie rewolucyjny i słuszny postulat. W sytuacji postępującej degeneracji Narodu i rozlewającej się trucizny liberalizmu i kapitalizmu, remedium na te bolączki ma być zwarty front młodych nacjonalistów. Formacja ta, traktowana przede wszystkim w ujęciu ideowo-formacyjnym, ostatecznie ma doprowadzić do Odnowy naszej nacji: duchowej, moralnej, etycznej.

Sądzę, że każdy nacjonalista przyzna, że jest to postulat tyleż trafny i jak najbardziej słuszny, ileż dla nas kuszący. Wszakże to my mamy być owym odrodzeniem dla polskiego Narodu. To na nas spoczywać ma odpowiedzialność, a także obowiązek, doprowadzenia do narodowego odrodzenia Polski. No właśnie: obowiązek. Bo tak traktować trzeba przede wszystkim ten slogan. Skoro z nacjonalistycznego punktu widzenia chcemy stanowić siłę przewodnią kraju i Narodu, to automatycznie nakładamy na siebie to jako właśnie obowiązek.

Aby jednak przynieść Polsce odrodzenie, rozumiane tu możliwe szeroko, to spełnić musimy jeden podstawowy warunek, niezbędny do realizacji tego postulatu. Musimy być Elitą. Duchową, intelektualną, moralną – a jeśli będzie to konieczne, to także każdą inną. Tylko w ten sposób będziemy w stanie faktycznie przynieść Polsce owe odrodzenie, w przeciwnym wypadku ruch nacjonalistyczny skończy się na stworzeniu kolejnej, demoliberalnej partii, mającej może trochę bardziej radykalny wizerunek niż pozostałe.

Skoro chcemy być siłą i grupą, która nadaje kierunek rozwoju dla Narodu to postulat, abyśmy realizowali w praktyce mussoliński postulat bycia „Ellites” jest w gruncie rzeczy tyleż oczywisty, co konieczny.

Co oznacza bycie Elitą w warunkach obecnego systemu i sytuacji Polski oraz Europy?

To konieczność ciągłej pracy nad sobą, tak aby każdego dnia przedstawiać wyższy typ człowieka. Dziś musimy być lepsi niż wczoraj, jutro lepsi niż dziś. Tylko w ten sposób uda nam się na poziomie duchowym i ideowym utrzymać rewolucyjny zapał i aktywizm.

To konieczność samodoskonalenia się na możliwe dużej liczbie płaszczyzn, przede wszystkim intelektualnej i ideologicznej.

To poszukiwanie nowych dróg i metod walki, nowych inspiracji i pomysłów, które mogą ciągle ożywiać ideę Narodowego Radykalizmu i sprawią, że będzie bezustannie aktualna i nowoczesna. Jednocześnie nie możemy dopuścić do zapomnienia lub odsunięcia w cień narodowych imponderabiliów. To świadomość i walka o to by pozostać odpornym na wszelkie manipulacje. Tylko jeśli będziemy mieć świadomość istnienia konkretnych metod manipulacji Narodu, uda nam

się temu przeciwdziałać i realizować konkretne działania uświadamiające Naród. To wreszcie obowiązek aby pod względem moralnym prezentować prawdziwie godną i nieskazitelną postawę. To także obowiązek doskonalenia nie tylko Ducha, ale i ciała. Sport, treningi, hartowanie się w ich ogniu przynosi równie duże korzyści, co lektura wartościowych książek czy szukanie nowych bodźców intelektualnych. Nie chodzi tylko o sam sport, ale także o przyzwyczajenie się do ciągłego wysiłku, pokonywania barier i rozwoju. To także kwestia zrozumienia faktu, iż jednym z największych przeciwników, jakich musimy pokonać jesteśmy ma sami. To nasze ograniczenia, przyzwyczajenia i codzienne nawyki są często czynnikami, które utrudniają nam rozwój i tym samym rozwijanie idei nacjonalizmu.

Ponadto sport, trening, zdrowy tryb życia to de facto czynny opór przeciwko postawie życiowej i zwyczajom promowanym przez zachodni liberalizm. Bierność, konsumpcjonizm, przyjmowanie tego co serwują nam media, politycy i korporacje – to wszystko wzorce zachowań, jakie cechują człowieka, który nawet nie próbuje walczyć. Człowieka, który raczej przyjmuje rzeczywistość taką, jaką zastaje, nie kontestuje jej tylko uznaje za coś oczywistego. Kiedy jednak zaczynamy trenować, uprawiać sport, w naszym życiu pojawia się walka – przede wszystkim z samym sobą. Już to prowadzi nas na drogę oporu, przełamywania barier, aktywizmu i rozwoju. Nie bez powodu jednym z popularnych wizerunków ludzi, którzy są całkowicie zniewoleni przez system, jest stereotypowy grubas w poplamionym podkoszulku, z piwem i pilotem do telewizora w ręku. Takie postawy chętnie widzi system kapitalistyczny, już z tego powodu warto temu się przeciwstawiać.

Bycie Elitą to wreszcie walka o Prawdę, zwalczanie hipokryzji, jawne i konsekwentne mówienie o tym, o co walczymy i w co wierzymy. Nie możemy pretendować do bycia Elitą, jeśli Prawdy będziemy się wstydić, jeśli nie będziemy mieli odwagi, aby otwarcie ją głosić i jej bronić, gdy zajdzie taka potrzeba. To jednocześnie walka z hipokryzją i zakłamaniem. Jeśli propagujemy konkretne postawy i poglądy, to nie możemy sami w życiu codziennym im zaprzeczać swoim postępowaniem.

Jeśli twierdzisz, że jesteś zwolennikiem Narodowego Solidaryzmu, to nie powinieneś mieć problemu z pomocą ubogim i potrzebującym. Jeśli deklarujesz się jako straight edge, to nie będziesz co weekend upadał się alkoholem i prochami. Przykładów tego typu można mnożyć setki, sądzę jednak, że każdy rozumie sens. Jeśli propagujesz jakąkolwiek ideę, sam musisz być jej reprezentantem i przykładem. Nacjonalizm bowiem będzie miał kondycję taką, jak narodowi aktywiści współtworzący go. Jeśli duchem, intelektem i kondycją będziemy dążyć do czegoś, co spokojnie można nazwać modernistyczną ideą Nadcześniaka, to możemy być całkowicie spokojni o stan ruchu nacjonalistycznego w kraju. Jeśli nacjonałiści pretendują do roli przewodzenia Narodowi to pamiętać musimy także, że w takim układzie stanowić musimy wzór dla wszystkich obywateli. Chodzi o wzór, do którego możliwie szerokie masy będą chciały równać i uważać za godny do naśladowania. Swoją postawą ponadto stanowimy uwiarygodnienie nacjonalizmu i stojących za nim postulatów. Ponadto jeśli faktycznie udałoby się sprawić, że szerokie masy w jakikolwiek sposób zaczną naśladować postawę, jaką reprezentujemy, to w takim układzie ogólny stan Narodu znacząco się poprawi, dojdzie też do wysokiego uodpornienia się na trucizny liberalizmu i marksizmu kulturowego.

Na takim rozwiązaniu powinno nam zależeć szczególnie. Jeśli bowiem wartość Narodu to prosta wynikowa poziomu reprezentowanego przez poszczególne jednostki, to im wyższy poziom Polaków, tym Naród będzie miał się lepiej. Jednym z największych wyzwań, może największym, jakie stoją przed nacjonalistami, jest walka o uświadomienie szerokich mas społecznych oraz o to aby ludzie sami zechcieli realizować ideał samodoskonalenia w duchu nacjonalistycznym. Oczywiście, raczej nie da się objąć tym wszystkich, czy nawet przeważającej większości. Jak najbardziej jednak możliwe jest, aby do bycia Elitą zaczęło aspirować na tyle dużo ludzi (nie tylko nacjonalistów, ale ogólnie Polaków) aby poziom świadomości, wiedzy i ogólnego poziomu rozwoju narodowego znacząco się poprawił.

Najpierw jednak, by powyższy scenariusz zaczął być możliwy do realizowania, zacząć musimy od tego, abyśmy jako nacjonałiści sami byli Elitą.

Pamiętać musimy tutaj o 3 podstawowych hasłach:

1. Wiedza to świadomość.

Manipulacja bierze się zawsze przede wszystkim z niewiedzy. Aby móc zaproponować rozwiązanie jakiegokolwiek problemu czy zagadnienia, najpierw musimy je dogłębnie i wielopłaszczyznowo poznać i zrozumieć. Tym bardziej jest to konieczne, jeśli chcemy (a przecież chcemy) prezentować naszą wizję i pomysły całemu Narodowi. Nie zadowolaj się nigdy jednym źródłem informacji i analizy, nie ufaj bezgranicznie temu co przeczytasz w Internecie, nie czerp wiadomości z memów i facebooka, staraj się zawsze dotrzeć do źródeł. Ponadto zawsze staraj się sprawdzić co na dany temat sądzi druga strona, jakie ma argumenty i punkt widzenia. Nie ufaj stereotypom, nie odrzucaj faktów tylko dlatego, że są niewygodne, pamiętaj wreszcie, że świat jednak rzadko jest czarno-biały, więc zero-jedynkowe podejście do rozlicznych tematów nie jest zwykle właściwe (choć oczywiście zdarza się, że jest).

2. Rewolucję zaczynaj zawsze od siebie.

Zanim zaczniemy zmieniać Polaków, śnić o Rewolucji (choć o Niej zawsze warto śnić), planować przyszłe rządy, najpierw musimy zadbać o siebie. Nasz umysł, stan świadomości, nasz poziom moralny, etyczny i duchowy – wszystko to musi być tak wysoko rozwinięte, jak tylko możliwe. To warunek konieczny i niezbędny aby „wyjść na zewnątrz” z jakimkolwiek planem działania.

3. Bezustannie pracuj nad sobą i zmieniaj na lepsze.

Walka o bycie coraz lepszym typem Polaka nie ustaje nigdy, nie możemy stanąć w miejscu i stwierdzić, że „to już maximum”. Świat się zmienia i idzie do przodu, także nasi wrogowie nie czekają biernie na rozwój wypadków. Tak więc dużym zaniedbaniem byłoby spocząć na laurach. Skoro bowiem zmiany w otaczającym nas świecie zachodzą tak szybko (mamy przecież XXI wiek), to naszym obowiązkiem jako nacjonalistów jest aktywnie i szybko na nie reagować.

Arystokracja ducha i ciała – brzmi to trochę pompatycznie, a trochę dziwnie, jednak właśnie do takiego ideału, moim skromnym zdaniem, dążyć powinni nacjonałiści. Jeśli nacjonalizm jako taki ma być atrakcyjny dla ludzi, a do tego ma odpowiadać obecnym warunkom i problemom Narodu, to przede wszystkim sami nacjonałiści prezentować muszą możliwie najwyższy poziom. Jeśli

pozwolimy sobie na pozostanie w tyle, zarówno ideologiczne (poprzez ignorowanie rzeczywistości i popadnięcie w zbytni historycyzm) jak i formacyjne, to z miejsca możemy uznać się za przegranych, zarówno w walce z liberalizmem jak i lewactwem. Ponieważ aspirujemy do kierowania Narodem i Naród uważamy za najwyższy cel jak i wartość, to bycie tak rozumianą Elitą, jest naszym obowiązkiem. Tym bardziej, jeśli nie chcemy skończyć jak kolejna kapitalistyczna, „narodowo-demokratyczna” partyjka, która oczywiście deklaruje walkę z systemem, jednak ma problemy już na poziomie jego zdefiniowania, zaś całą swoją aktywnością przeczy temu, skądinąd słusznemu, postulatowi.

Nie bójmy się więc tego powiedzieć i tego zrobić: Bądźmy Elitą!

Karol Oknab – „Krytyka Polityczna. Anatomia szaleństwa.”

Dziś na przełomie 2016 i 2017 roku możemy wspólnie odetchnąć i powiedzieć jasno: „Krytyka Polityczna” zachowuje się jakby dołączyła do barwnego grona szurów polskich. Oczywiście nadal wydaje atrakcyjne pozycje książkowe, nadal jest w stanie przyciągać modnych intelektualistów, znanych na całym świecie, ale lawinowo ukazujące się artykuły, zwłaszcza w codziennym „Dzienniku Opinii” i ich zatrważająco niski, czasami wręcz groteskowy poziom, pozwalają postawić tezę, że od pewnego czasu środowisko to dryfuje niebezpiecznie w odmęty szaleństwa, które w pewnym momencie, moim zdaniem już niedługim, nie pozwoli traktować je poważnie.

Zacznijmy od początku. Krytyka Polityczna powstała w środowisku warszawskich studentów w roku 2002. Jej poważniejsza działalność nabrała kształtów od roku 2006. Krytyka Polityczna, już samą swoją nazwą odwołała się do dwóch tradycji. Pierwszy jej człon jest nawiązaniem do młodopolskiej tradycji, do „Krytyki” wydawanej w Galicji przez Wilhelma Feldmana, zwolennika pełnej asymilacji ludności żydowskiej, do której z resztą należał, żołnierza legionów oraz zwolennika Piłsudskiego i jego koncepcji reaktywacji Państwa polskiego. Najsłynniejszym publicystą „Krytyki” był Stanisław Brzozowski. Drugi człon odwołuje się do „polityczności”. Krytyka Polityczna wzorem zachodnioeuropejskich postmarksistów zreinterpretowała i przyswoiła sobie pewne elementy z filozofii Carla Schmitta, w której podstawowym hasłem jest „polityczność”, czyli sztuka identyfikowania swoich „przyjaciół” oraz „wrogów”, co Schmitt uznawał za istotę polityki. Odwołanie się do tezy o polityczności „nazisty”, za które sama KP napiętnowałaby każde inne środowisko, miało służyć jako antidotum na bezideową epokę dekady lat 90 i zerowych, w której dominowali politycy pokroju Tony Blaira czy Gerharda Schrödera. KP z chwilą powstania i ukonstytuowania się jako poważna siła opiniotwórcza usytuowała się na prawo od anarchistów, rozwijających w tym czasie ruch skłoterski, a na lewo od Gazety Wyborczej, powoli tracącej swoją hegemonię nad polskimi „intelektualistami”, do czego przyczyniła się afera Rywina oraz późniejsza komisja sejmowa, wyjaśniająca tę sprawę, która cieszyła się niespotykanym zainteresowaniem wśród obywateli. Podczas przesłuchań, redaktor naczelny, Adam Michnik co chwilę kompromitował się swoim zachowaniem. Popularną tezą publicystyczną w tamtym czasie było przypuszczenie formułowane przez komentatorów życia publicznego, reprezentujących bardzo różne poglądy polityczne, że w miejsce dotychczasowej hegemonicznej GW i różnych jej przybudówek, jak na przykład Tygodnik Powszechny, wejdzie Krytyka Polityczna. Młodym Michnikiem, czyli intelektualistą, który jest w stanie zakulisowo rozgrywać kolejne rządy, kreować metapolityczną przestrzeń, bez angażowania się w politykę, a w którą wpisywać się będą kolejne rządy, miał stać się Sławomir

Sierakowski. Ten młody absolwent warszawskiego MISHu, stypendysta prestiżowych amerykańskich i niemieckich instytutów naukowych, z nonszalanckim stylem bycia, wraz ze wspierającą go egzotyczną, drugą połówką oraz ambicją, aby połączyć najnowsze, zachodnioeuropejskie trendy wraz z polskimi pozytywistycznymi, emancypacyjnymi tradycjami XIX i XX wiecznymi, mógł robić wówczas wrażenie kogoś na kształt lidera swojej generacji. Głównym celem Krytyki Politycznej, stała się odradzająca się tradycja polskiego nacjonalizmu, szeroko rozumiana endecja, którą za głównego przeciwnika uznał już w latach osiemdziesiątych Adam Michnik, a wróg ten był w jego uznaniu tak niebezpieczny, że za cenę pokonania go, warto sprzymierzyć się nawet z dotychczasowymi przeciwnikami, czyli polskimi komunistami. W opozycji, Krytyka Polityczna zaproponuje tradycję, której reprezentantów będzie szukać w historii ostatnich dwustu lat. Ważnymi postaciami staną się dla niej Boy-Żeleński, Kuroń, J.J. Lipski, Maria Janion, pozytywiści, asymilatorzy, socjaliści, polskie sufrażystki, dysydenci z partii komunistycznej. Będzie to tradycja i wizja przyszłej Polski jako kraju laickiego, zintegrowanego z Europą Zachodnią (jako bytu nieporównywalnie wyższego kulturowo od Europy Środkowo-Wschodniej), o ustroju socjal-liberalnym, którego symbolem będzie uśmiechnięte, cygańskie dziecko, kobieta odczuwająca radość po dokonaniu aborcji, aktywistka lgbt oraz uchodźca z Kaukazu. Każdy z nich będzie uważał się za obywatela Rzeczypospolitej Krytyki Politycznej. Innych Polaków nie będzie. Polska miała stać się krajem podobnym do sąsiadów z drugiego brzegu Morza Bałtyckiego. Przeobrażenia świadomości, która musiała by być prawdziwą rewolucją, Krytyka Polityczna postanowiła przeprowadzić taktyką „marszu przez instytucję”. Tak powstała szeroka sieć organizacji pozarządowych, kół, świetlic, klubów, księgarń pod egidą tego środowiska oraz jeszcze szersza koalicja organizacji trzeciego sektora, kooperujących z środowiskiem KP. KP wytworzy na bazie swoich instytucji własną sztukę, teatr, poezję, literaturę, poprzez które będzie chciała osiągnąć kulturową hegemonię nad ich odbiorcami. Przewiercić ich mózgi swoimi treściami. Dla najzdolniejszych i najaktywniejszych będą atrakcyjne stypendia i granty. Zdecydowanie zostaną odpuszczone kwestie socjalne, tematyka dołów społecznych będzie pomijana, albo wspomniana od święta. Robol, stoczniowiec, baba w sklepie będą traktowani jak uciążliwa i roszczeniowa dzicz, na którą nie warto tracić czasu, bo ona i tak nie nada się do niczego, nie zagłasuje na odpowiednich ludzi, nie poprze odpowiednich inicjatyw. Swoje zasoby, jak wszystko na świecie, ograniczone, KP kierowała do środowisk elitarnych, opiniotwórczych, uczelnianych. Oczywiście z czasem, gdy przyjdzie kryzys, do czego zaraz dojedziemy, KP zacznie na nowo definiować swoją „socjalność” wzbogacając polski dyskurs o pojęcie „prekariusza” (który w zamyśle ma przesiąknąć jej wizją kulturową państwa, tak więc warto o niego zawalczyć). Drugą tradycją KP stanie się zachodni post-marksizm i przenikający się z nim postmodernizm. Cechą post-marksizmu jest utrata zainteresowania proletariuszem oraz rewolucją. Zamiast tego post-

marksiści zaczynają mówić o kulturze, także popularnej, klasie średniej, na której właśnie należy się skupić i przez nią emitować pożądane przez siebie treści. Postmoderniści natomiast wychodząc od krytyki strukturalizmu w teorii literackiej, mówiącego, że dzieło literackie ma jakiś sens, przekaz, myśl, którą piszący chce nam przekazać, a co więcej jest tego świadomy, uznali że w zasadzie każdy tekst literacki ma taką interpretację, takie znaczenie, jakie aktualnie czytający ten tekst sobie uroi. Przekładając to na każdą dziedzinę życia ludzkiego, uznali, że nie istnieje „prawda”, tylko narracja o nieistniejącej prawdzie, którą każdy może wytworzyć sobie według własnego kaprysu. Kolejną tradycją będzie psychologizm Freuda oraz seksualizm Reicha. Pseudonauka Freuda, tak zwana psychoanaliza, posłuży środowiskom KP do podważania każdego nieagnostycznego osądu o świecie. Człowiek mówiący „nie”, w rzeczywistości projektuje sobie odwrotność słowa „nie” czyli „tak”. Faszysta jest prawdopodobnie homoseksualistą, albo ofiarą ojca-pedofila, a księża katolicy tak naprawdę nie wierzą w żadnego Boga. Słowem freudyzm, psychoanaliza, w żaden sposób nieuzasadniona naukowo teoria Freuda, służy jako element walki kulturowej, podważania opinii każdego z przeciwników, w domyśle: katolickich nacjonalistów. Podobnie seksualizacja świata dokonywanych w pseudonaukach Wilhelma Reicha, posłuży jako „święty gral” współczesnej, polskiej lewicy spod znaku KP. Gej i lesbijka staną się dumnymi pionierami nowej, tęczącej rewolucji, której nie oprą się nawet najbardziej fanatyczni, zdeterminowani przeciwnicy, którzy zamiast powoli umierać za swoje ideały, poddadzą się wrzącej sile seksualności, obaleniu dotychczasowych tematów tabu takich jak monogamia, wierność, czy biseksualizm nastolatek. Słowem, KP będzie prowadziła politykę, o której Witkacy napisze pogardliwie sto lat wcześniej: „na początku była chuć”.

Złotą epoką dla KP były rządy Donalda Tuska. Ten okres, charakteryzujący się dobrą koniunkturą dla pewnych grup społecznych, awansem do klasy średniej, współczesnego mieszczaństwa, zdawał się potwierdzać słuszność obranej przez KP drogi. Coraz lepiej wykształceni i dowartościowani obywatele mogli poświęcić swój czas na wyjście do alternatywnego teatru, obejrzenie stacji telewizyjnej, w której wystąpi odpowiedni zastęp publicystów KP, którzy urobią go odpowiednio, nabycie odpowiedniej książki, poleconej przez odpowiedniego krytyka, przyznającej odpowiednią nagrodę. Odpowiednie ministerstwa hojnie dotowały KP, uczelnie i szkoły przyprowadzały pilnie swoich podopiecznych na zajęcia do siedzib KP i podobnych jej organizacji, wydawnictwo publikowało kolejne książki i numery kwartalników, cały kraj został pokryty siecią klubów i świetlic KP, tu przychodziło zaproszenie na targi książki, tam do ambasady przyjaznego kraju. Było całkiem dobrze. KP nie stała się jednak drugą Wyborczą, nie powtórzyła jej sukcesu z lat 90, nie zdobyła hegemonii na lata. Dlaczego tak się stało? Uważam, że zawiodła ich, bezpodstawną

marksistowska koncepcja „fałszywej świadomości”, która mówiła, że człowiek, może trwać we fałszywym osądzie o sobie, ale po przez działanie osób trzecich, może odkryć „prawdziwą” rzeczywistość. KP odrzuciła także rewolucyjne metody walki politycznej. Chciała ewolucji, w miłąkim, bezkonfliktowym procesie. KP zdała się na chimeryczny, mityczny lud (nawet jeśli chodzi tylko o część ludu: „miejską inteligencję”), który miał zostać przez nią wyedukowany, podciągnięty do europejskości, która równała się z człowieczeństwem, a w podzięce za to, miała pomóc zrealizować odpowiednie cele. Demos zawsze jednak zdradza demokratów.

Koniunktura światowa, niesprzyjająca dla polityki KP, podważała jej zasadność, gdy jednocześnie KP próbowała ją realizować. Mówiąc obrazowo: zachodnie policje rozbiły arabskie gangi handlujące białymi dziewczynkami, motywując się przy tym antybiałym rasizmem, gdy w tym czasie w klubach KP debatowano dlaczego pomoc każdemu kto uważa się za uchodźcę, jest miarą człowieczeństwo (obok europejskości oczywiście).

I co najważniejsze i ostateczne: spychana i wyśmiewana męskość znalazła możliwość swojej realizacji w nowej fali polskiego nacjonalizmu, który utoczył się na kontestowaniu wszystkiego co KP proponowała. KP wymyśliła świat dla uchodźców, muzułmanów, matek z dziećmi, ludzi uważających się za na przykład koty, ale jakoś przez pomyłkę pominęła dosyć sporą grupę, jak zapewne czytelnicy przyznają, jaką stanowią mężczyźni. Kryzys nadszedł, gdy oczywiste stało się, że władzę nad Polską przejmie opozycyjne Prawo i Sprawiedliwość, dotychczas przedstawione jako narodowo-katolicki, populistyczny, chochoł. KP stanęła na rozdrożu. Czy poprzeć Zjednoczenie Lewicy, czy też młodą partię Razem, która czerwony kolor zamieniła na fioletowy? Razem, będąc podróbką hiszpańskiego Podemos („Możemy”), zaczęła artykułować wyraźnie narodowo-rewolucyjne tradycje polskich socjalistów, odwoływać się do oporu społecznego pierwszej „Solidarności”. Oczywiście to tylko taktyka maskowania, wielu jej członków stanowią internacjonalistyczni, radykalnie nastawieni aktywiści, którzy zostali utemperowani na czas wyborów.

Razem zaczęło artykułować wyraźnie hasła socjalne, robotnicze, zwodząc i przyciągając do siebie nawet niektórych, nieortodoksyjnie nastawionych nacjonalistów. ***

Szaleństwo Krytyki Politycznej, poprzedzone pychą, w pełni objawiło się po zwycięstwie PIS w wyborach parlamentarnych oraz jej odgórną, pokojową rewolucji gabinetowej. Środowisko KP stanęło przed zagrożeniem, polegającym na pełnym wycięciu jej wpływów z instytucji państwowych oraz pozarządowych. Celem PIS jest możliwie jak najbardziej pokojowa wymiana

elit państwowych, na podległe, kontrolowane przez siebie. Skutki mają być podobne do sytuacji z lat 1939-1956, oczywiście bez stosowania ówczesnych metod.

Metoda ewolucyjnych zmian, zawłaszczania kultury, indoktrynacji społeczeństwa zawiodła. KP musiała zmienić metodę i spróbować podjąć bardziej bezpośrednią konfrontację.

Środowisko to wychowało się w cieplarnianych warunkach. Nie skupiało w swoich szeregach ludzi przyzwyczajonych do niewygody, medialnego szkalowania, trudności, walki. Rewolucyjna, skrajna lewica została zupełnie zmarginalizowana, między innymi przez wcześniejsze działania KP. Ludzie tego środowiska nie byli przygotowani na to co miał się wydarzyć i być może dlatego zachowują się teraz jakby oszaleli. Oni uwierzyli, albo przynajmniej sprawiają wrażenie, że w ciągu ostatniego półtora roku, „naród” wyszedł na ulice i buntuje się przeciwko władzy. Środowisko KP sprawia wrażenie, że wierzy, że na „ulicach” polskich miast, społeczeństwo stawia „opór” władzy, która przemieniła się w tyranię.

Janusze i Grażyny, pracownicy budżetówki, zawodowi działacze partyjni, zwożeni na miejsca swoich przasných, ekstremalnie żalonych „manifestacji”, które przypominają cyrk są dla KP rewolucyjnym podmiotem. Jest to wręcz niesamowita, postmodernistyczna parodia zaangażowania i bunt społeczny przeciwko władzy. Te oczywiste, negatywne wrażenia estetyczne, nie przeszkadzają publicystom KP kreować własnej, wirtualnej narracji, pisząc długie eseje na temat taktyki oporu społecznego, którą Komitet Obrony Demokracji może zastosować w niedługiej przyszłości. Sam szef KP w ciągu roku zdążył złożyć wiele „ostrych” deklaracji: „nie pisałem nigdy więcej, niż teraz”, „siadam i piszę, nie śpię, walczę”, „rewolucja jest już blisko”, „Kaczyński popełnił pierwsze spektakularne samobójstwo”. Oczywiście dla każdego rozsądnego człowieka, takie deklaracje rażą niczym nieuzasadnionym patosem i każą zadawać sobie pytanie, czy wygłaszający je robi sobie żart czy naprawdę w taki sposób postrzega aktualne wydarzenia. Sierakowski nie jawi nam się jako koryfeusz nowej epoki, a jako śmieszny relik, która być może odchodzi właśnie do historii. I tak szef KP swoją spóźnioną rewolucję, czy też liberalną kontrrewolucję przeciwko chocholej prawicowej rewolucji, której w zasadzie nigdy nie chciał przeprowadzać, musi dokonać opierając się na Januszach i Grażynach biorących udział w parodiach demonstracji ulicznych. Sam sobie wmawia, że na ulicach dzieje się rewolucja, gdy tymczasem odbywa się szyderstwo z prawdziwej aktywności społecznej. Niczym jak w jakiejś bajce, sytuacja odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Kiedyś w KP śmiali się z „moherowych беретów” teraz udają, że inne moherowe berety są awangardą narodu, demokracji walczącej, społeczeństwa obywatelskiego czy czego tam się chce. KP w ciągu ostatniego półtora roku zaprzeczyła większości

poglądów, jakie reprezentowała od piętnastu lat. KP przez ostatnie półtora rok katowała swoich czytelników tajemniczym pojęciem „postprawdy”. Nagle pojawiło się od groma wywiadów, analiz, esejów, które udowadniają że sukces tożsamościowych populistów rodzaju Trumpa, wynika z zastosowania kłamstwa, przemieszanego z prawdą, czyli tak zwanej postprawdy. Tak samo PIS, odmawiając publikowania orzeczeń TK, wytworzyło swoje „postprawo”. Na to Krytyka Polityczna świętoszkowato odpowie, w jednym z wywiadów, że nie ma czegoś takiego jak postprawo (postprawda), jest tylko prawo i bezprawie. Oczywiście, wcześniej prawo było narzędziem walki klas albo patriarchalnego ucisku, ale kiedy idzie o pełne ryje, agnostyczne poglądy dotyczące rzeczywistości okazują się jednak niesłuszne, a chociaż wcześniej rzeczywistość była płynna, a oficjalny dyskurs patriarchy miał być zakłócany przez szerokie pasma emancypacyjnych dyskursów i narracji, to jednak dziś demokracja (uprzywilejowana sytuacja dla liberalnych elit i koterii) jest tak bardzo zagrożona, że w zasadzie nic innego liczyć się nie może.

KP jako ekspozytura postmodernizmu przez lata przekonywała, że jedna prawda nie istnieje, istnieją tylko dyskursy, z którymi należy się z szacunkiem zapoznać. Gdy koniunktura się odwróciła na jej niekorzyść, KP stała się orędowniczką obowiązywania imperatywów. KP nienawidzi ludu, brzydzi się nim. Aby zrekompensować sobie ten brak kreuje nowe, upośledzone grupy społeczne jak na przykład biedni poeci prekariusze, choć ich twórczość wymaga mniej więcej tyle wysiłku ile post na fejsbuku. Podobnie kuriozalne wydaje się udzielanie głosu bardzo poważnemu syndykatowi, którego „aktywiści” zasłynęli próbą pobicia Mikołaja Janusza, a którego większość komisji zakładowych działa na tak ekstremalnych frontach walki klas jak: teatry, muzea, przedszkola oraz wegańskie restauracje.

Środowisko KP podziela poglądy Herberta Marcuse, który uznawał, że najgorsza forma nietolerancji polega na zbytnej tolerancji wobec prawicy (z resztą te hasło jest jednym z przewodnich dla środowiska KP). Wiadomo przecież, że gdyby władzę w demokracji sprawowały niepodzielnie siły lewicowe, to do wyboru Trumpa by nie doszło. Tak to już rozumują duchowi spadkobiercy Rousseau, którzy nie identyfikują woli powszechnej z wolą większości, tylko z wolą zgodną z interesem ludu. A ustalać, co jest zgodne z tym interesem mogą jedynie oni sami. Z tego właśnie pochodzi cały ludofobiczny, polonofobiczny rzyg KP. Tyle lat starała się wpłynąć na formację kulturową całego narodu i gdy zdawało się, że się już udało, na całym świecie rozpoczął się zwrot „tożsamościowy” podważający wszystkie podstawy na których oparto choćby i Krytykę Polityczną.

Każdy „lud” jest a priori lepszy od „ludu polskiego” dla środowiska KP. Jest lepszy, ponieważ nie jest „ludem polskim”. Obojętnie czy będą to ludy arabskie, pełne brutalności wobec słabszych, czy też nasi rodzimi cyganie. Oczywiście KP jako postmodernistyczna platforma do głoszenia postprawdy, będąca tak postmodernistyczna, że jest w stanie atakować inne media i polityków za głoszenie postprawdy (ponieważ głosić ją może tylko ona), nie liczy się, że w walce z patriarchalną kulturą europejską, wspiera kultury cechując się jeszcze większym natężeniem cech, które środowisko KP uważa za niepożądane w kulturze europejskiej. Mamy do czynienia tutaj z paranoiczną sytuacją: przykładowo, by wyeliminować kulturę, w której według KP istnieje przyzwolenie na bicie kobiety, promuje się kultury w których jest przyzwolenie na oblewanie kobietę kwasem. I publicysta KP nie widzi w tym żadnej sprzeczności ani zachwiania proporcji. Podsumowując, pewien rodzaj szaleństwa, jaki dotknął KP w momencie, gdy do ich urojonej, tęczowej, nierzeczywistości, zaczęła przedzierać się przez szczeliny, naga, polityczna władza, autonomiczna względem etyki i ekonomii, wynika wprost z przyjętej przez nią ideologii, jaką jest liberalizm. Liberalowie, których przykładem jest środowisko Krytyki Politycznej, pozbawieni ochronnego parasola instytucji, z których żadnej z resztą nie utworzyli (przykładowo: uniwersytet pochodzi od Średniowieczna, rząd jak organ administracji od Monarchii Absolutnej) oraz wpływu na zbrojne ramię Państwa, okazują się być słabi.

Paweł Bielawski – „Kapitalizm realny i utopijny”

Przede wszystkim nie jest prawdą by wolność gospodarcza prowadziła zawsze do wolnej konkurencji, do cen najniższych i do jak najlepszej produkcji. (...) Państwo nie może zrzec się wpływu na życie gospodarcze, poprzestać tylko na pilnowaniu porządku i bezpieczeństwa, czy chce czy nie chce, musi wywierać stanowczy wpływ na gospodarstwo narodowe”.

- pewien polski ekonomista

„W Polsce nie ma kapitalizmu”, „w Polsce nigdy nie było wolnego rynku”, „w Polsce nie ma liberalizmu” – ile razy usłyszeć to można od naszych kochanych „prawicowców”? No a co w takim razie jest? Socjalizm, oczywiście! A dlaczego jest socjalizm? Dlatego, że jest coś innego, niż sobie nasi drodzy prawicowcy wyobrażali. I tu tkwi pies pogrzebany. Wymyślili sobie pewną utopię, pewien idealny, doskonały ustrój gospodarczy i nazwali go sobie kapitalizmem. Jeżeli to, co istnieje realnie choćby w najmniejszym stopniu odbiega od ich wymyślonego ideału, to automatycznie stwierdzają, że to nie jest kapitalizm, a więc – socjalizm. Taką postawę określić można jako „kapitalizm utopijny”.

Jest to podejście strasznie niedojrzałe i infantylne, żeby nie powiedzieć „szurowskie”. Kapitałiści utopijni są już do tego stopnia zacierzewieni, że ich ideologia przesłania im rzeczywistość. Oni kompletnie nie zdają sobie sprawy, że teoria istniejąca na papierze nigdy w 100% nie będzie odpowiadała jej praktycznej postaci. Tutaj przydaje się przywołać pojęcie „typu idealnego” wprowadzonego do socjologii przez Maxa Webera. „Typ idealny – według Maxa Webera to pewien abstrakcyjny model składający się z cech istotnych danego zjawiska społecznego, jednak w czystej postaci nie występujący w rzeczywistości. Koncepcja typu idealnego miała pozwalać na porównywanie ze sobą różnych zjawisk społecznych względem owych abstrakcyjnych form, np. konkretnej formy władzy do typu panowania”.

Kapitałiści utopijni uważają, że w Polsce nie ma kapitalizmu/ liberalizmu/ wolnego rynku, gdyż to, co mamy obecnie (roboczo okreśmy go „kapitalizmem realnym”) nie odpowiada w 100% typowi idealnemu kapitalizmowi (takiego jakiego sobie wymyślili). Powiem wprost – to świadczy o zwykłym debilizmie. Mocne słowa? Zróbmy analogiczne rozumowanie:

Teza nr 1. Komunizm opiera się na realnej równości wszystkich ludzi.

Teza nr 2. W ZSRR nie było realnej równości wszystkich ludzi.

Wniosek: W ZSRR nie było komunizmu.

Powyższe rozumowanie jest logiczne poprawne. Niemniej, czy ma ono jakikolwiek związek z rzeczywistością? Czy na podstawie tego rozumowania można rzeczywiście dowodzić, że w Związku Radzieckim komunizmu nie było? Oczywiście, że nie. Z pewnością, komunizm radziecki odbiegał w wielu miejscach od teorii Marksa i Engelsa, ale czy to znaczy w ZSRR nie było komunizmu? Powiem więcej – czy chrześcijaństwo realne jest w 100% zgodne z chrześcijaństwem teoretycznym? Rodzi się pytanie „które” chrześcijaństwo – katolicyzm, protestantyzm, czy prawosławie jest tym „prawdziwym”. Oczywiście, większość w Polsce powie, że oczywiście katolicyzm. Ale w Rosji już będą mieli inną opinię. Można twierdzić, że tylko katolicyzm jest chrześcijaństwem, a wszystko inne chrześcijaństwem w ogóle nie jest. Nie będę tutaj się zagłębiał w teologiczne dysputy, chcę tylko pokazać pewną analogię.

Poziom zacierzwienia kapitalistów utopijnych doskonale widać w artykule a propos CETA, autorstwa Mariana Piłki z portalu Forsal.pl z dnia 16.02.2017. Cytuję:

„[Polski] model nie jest wytworem wolnego rynku, lecz konsekwencją polityki przyjętej na przełomie lat 1989/1990. Tak zwany plan Balcerowicza opierał się na bezrefleksyjnym przyjęciu sugerowanej Polsce liberalizacji gospodarczej według konsensusu waszyngtońskiego. Polityka ta opierała się głównie na zniesieniu barier dla handlu, inwestycji zagranicznych, przepływu kapitału, a także na deregulacji rynków i prywatyzacji. Oznaczała otwarcie rynków krajowych na ekspansję kapitału zagranicznego i budowanie gospodarki nie w oparciu o odradzający się kapitał rodzimy, ale zagraniczny. Nie mieliśmy do czynienia z wolną konkurencją, bo zagraniczne korporacje konkurowały z dopiero odradzającą się polską przedsiębiorczością.”

Moi drodzy – autor przeczy sam sobie w niemal każdym zdaniu. Najpierw stwierdza, że polski model nie jest wolnorynkowy, by zaraz potem przyznać, że opierał się na liberalizacji gospodarczej. Przyznaje, że transformacja opierała się na zniesieniu barier (!) dla handlu, przepływu kapitału jak również na deregulacji (!) rynków. Stwierdza potem, że gospodarka nie opierała się na kapitale rodzimym, tylko zagranicznym, więc konkurencja nie była „wolna”, bo zagraniczne korporacje konkurowały z raczkującymi polskimi firmami. Drogi Panie Marianie, kto mówił że wolność gospodarcza jest fair? To czego w końcu pan chce? Wolnego rynku czy sprawiedliwego rynku?

Bo to nie jest to samo. Jeżeli oczekiwał Pan, że polskie firmy winny być subsydiowane (tak właśnie Korea Płd. zbudowała swoją siłę ekonomiczną), to... to już w takim razie nie jest wolny rynek. To jest interwencjonizm. Państwo polskie oczywiście powinno wspierać rodzimy kapitał, ale – powtórzmy jeszcze raz – wtedy to już nie jest wolny rynek.

Innym przykładem jest wywiad z członkiem Jobbiku Ferencem Almassy z „Obserwatora Finansowego” z dnia 17.02.2017. Zacytuję fragment:

„Obserwator finansowy: Nie miał pan nadziei na zmianę polityczną?

Ferenc Almassy: Nie chodzi o to, że zmieniają się partie. Problem jest głębszy – chodzi o liberalizm, który zniszczył francuskie społeczeństwo. Ludzie stali się konsumentami, grupą indywidualistów, których łączy tylko to, że żyją w jednym miejscu. Przestali być obywatelami.

OF: Ma pan na myśli liberalizm obyczajowy?

FA: I obyczajowy i ekonomiczny. To dwie strony tej samej monety. Jeden liberalizm wzmacnia drugi.

OF: Wolne żarty. Od kiedy Francja, najbardziej obok Szwecji socjalny kraj Europy, z rozbuchaną biurokracją i regulacjami, jest wolnorynkowa?

FA: A widział pan gdzieś czysty liberalizm gospodarczy? Nikt go nigdy nie widział. Twierdzenie, że jakiś kraj nie jest liberalny, ponieważ ma jakieś regulacje i podatki i nie spełnia tym samym założenia „modelu idealnego” to twierdzenie analogiczne do tezy, że w ZSRR nie było prawdziwego komunizmu, bo nie wszystko zgadzało się z podręcznikowymi ideami Marksa, Engelsa i Lenina. Nawiasem mówiąc, marksizm, komunizm, faszyzm, a także liberalizm to bliźniacze ideologie. (...) Liberalizm to zaś koniec końców transhumanizm naiwnie wierzący w siłę technologii i postępu. Wracając do Francji – tam po prostu panuje jedna z wielu wariacji systemu liberalnego.”¹

Powtórzę to jeszcze raz, żeby nie było niejasności: jeżeli praktyczne zastosowanie ideologii X różni się w pewnym stopniu od abstrakcyjno-teoretycznej postaci ideologii X, to nie znaczy że ideologia X nie jest stosowana w praktyce. Tyczy się praktycznie wszystkiego – zarówno liberalizm,

kapitalizm, komunizm, socjalizm, chrześcijaństwo TEORETYCZNE różni się od ich wersji PRAKTYCZNYCH. Zawsze będzie tak, że teoria będzie się różniła od praktyki, gdyż teoria funkcjonuje w świecie abstrakcyjnym, natomiast praktycznie zastosowania funkcjonują w świecie materii ożywionej. Mam nadzieję, że to już dość jasne i klarowne.

Kapitalistów utopijnych cechuje wyraźny ahistoryzm. Ich wypowiedzi świadczą, że o historii kapitalizmu nie mają bladego pojęcia. Czegoś takiego jak „pierwotny wolny rynek” w rzeczywistości nigdy nie było. Jak już wspominałem, idealny „wolny rynek” można traktować wyłącznie jako konstrukt teoretyczny na potrzeby rozważań ekonomicznych, a nie jak fakt historyczny. Państwa zawsze tworzyły mechanizmy prawno-instytucjonalne, które blokowały nagą siłę praw rynkowych, gdyż ma ona charakter niszczący dla wszelkich ludzkich wspólnot. Liberalizacje nigdy nie wynikały z „natury” i miały charakter radykalnych rewolucji, jak np. w Anglii lat 30. i 40. XIX wieku, a potem z okresu Margaret Thatcher, czy Ronalda Reagana.

Transnarodowe korporacje nie tyle żyją w symbiozie z państwem, ile na nim pasożytują. Bez aktywnego państwa nie byłoby możliwe funkcjonowanie nowoczesnej gospodarki, a korporacje stosują „optymalizację podatkową” w celu unikania finansowania rozlicznych korzyści, które od państwa otrzymują. „Homo economicus” nigdy nie istniał, z wyłączeniem stron podręczników do ekonomii klasycznej. To, co kapitaliści utopijni nazywają „socjalizmem”, „pseudo-rynkiem” to w rzeczywistości naturalny, „oligarchiczny”, „imperialistyczny” lub „neokolonialny” etap w rozwoju wolnorynkowego kapitalizmu. Wraz z koncentracją kapitału wpływ polityczny korporacji rośnie tak bardzo, że uzyskują ona wpływ na stanowienie prawa (nieraz wręcz ustawy są pisane na zamówienie biznesu), co rodzi błędne przekonanie o jakimś etatyzmie-socjalizmie, który niby to krępuje rynek.

Ponadto, należy też zwrócić uwagę, że – wbrew pozorom – liberalizm i komunizm to rzeczywiście bliźniacze ideologie (tak!). Dlaczego? Obie ideologie są dziedzictwem oświecenia i jego aksjologii. Obie ideologie ukazują człowieka jako byt czysto materialny. Obie ideologie świat i życie człowieka redukują wyłącznie do kwestii ekonomicznych. Obie ideologie niszczą organiczne więzi społeczne. Obie ideologie wykorzeniają człowieka z jego specyficznego kontekstu społeczno-kulturowego. Obie ideologie dezintegrują tradycję i zbiorowe tożsamości, gdyż ukazują człowieka jako abstrakcyjną jednostkę – wykorzenioną „monadę”. Obie ideologie nie uwzględniają tego, że ludzie nie egzystują w świecie inaczej jak poprzez bycie częścią składową konkretnej, zakorzenionej wspólnoty narodowej.

Z powyższym wiąże się jeszcze jedno szkodliwe zjawisko, a mianowicie „rynkowy talmudyzm”. Jest to postawa traktująca rynek jak Boga – nieomylnego wyznacznika wszelkich norm, który ma zawsze rację, nigdy nie błądzi i nie wolno mu się przeciwstawiać. W związku z tym, całe populacje i narody muszą więc poświęcać siebie na ołtarzu rynku i dostosowywać swoje życie do potrzeb. To jest właśnie problem naszych czasów – niewolnicze przywiązanie do ideologii mające charakter syndromu sztokholmskiego. Rynkowi talmudyści zapomnieli o jednej podstawowej sprawie: nie człowiek jest dla rynku, tylko rynek dla człowieka. A w momencie gdy rynek zaczyna ludziom szkodzić, to należy go ograniczyć. Rynek jest jak małe dziecko – nie wolno pozostawić go bez opieki, gdyż zrobi sobie krzywdę i sobie, i innym.

Co jeszcze ważniejsze: rynek nie daje zawsze najlepszych rozwiązań. Nieraz bywa tak, że (uwaga, usiądźcie lepiej) państwo działa znacznie lepiej niż rynek. Zacytuję wywiad z ekonomistką Marianą Mazzucato z „Polityki” z dnia 27.12.2016:

„Polityka: – Kto stworzył Google?

Mariana Mazzucato: – Państwo.

A rewolucję bio- i nanotechnologiczną kto rozkręcił?

Państwo.

A iPhone’a komu zawdzięczamy?

Też państwu.

A nie panu Jobsowi?

Nie. On przyszedł na prawie gotowe.

To dlaczego wszyscy myślą, że właśnie jemu? A jeśli nie jemu osobiście, to przynajmniej innowacyjnej firmie Apple?

Bo mamy system, który celowo takie fałszywe przekonanie podtrzymuje. Już Platon przekonywał, że światem rządzą ci, którzy potrafią spójnie o nim opowiadać. Nasi współcześni herosi prywatnego biznesu robią dokładnie to samo. Czytał pan biografię Steve’a Jobsa?

Którą? Po polsku wyszła nawet jedna w wersji komiksowej.

Ostatnia biografia Jobsa, którą ja czytałam, miała 800 stron. Plus hollywoodzki film (chodzi o obraz „Steve Jobs” Danny’ego Boyle’a z Michaeliem Fassbenderem w roli głównej, który miał premierę w 2015 r. – red.). I w książce, i w filmie nie ma ani jednego rozdziału czy sceny, co ja mówię, nawet jednego zdania ani słowa wspominającego o tym, że bez udziału państwa takiego wynalazku jak smartfon po prostu by nie było”.²

Nie ma absolutnie żadnego powodu, dla którego całe narody miałyby być poświęcane na ołtarzu wolnego rynku. Rynek nie jest żadnym Bogiem, żadną świętą krową ani żadnym Absolutem. Jest co najwyżej narzędziem. A jeżeli narzędzie przestaje działać to albo się go naprawia, albo stosuje inne. Warto wspomnieć, iż nie wszyscy zwolennicy wolnego rynku są rynkowi talmudystami. Niestety nie wiedzą o tym rynkowi talmudyści, którzy swoją wiedzę o ekonomii czerpią najczęściej z korwinistycznych memów na fejsbuku.

Pamiętacie cytaty na początku tekstu? Jego autorem nie jest socjalista, ani komunista. Autorem cytatu jest Roman Rybarski – endecki ekonomista i zwolennik wolnego rynku, sceptycznie nastawiony do liberalizmu. Tak, to jest możliwe. Zamiast więc czerpać wiedzę z korwinowskich memów, radzę przeczytać Rybarskiego.

Bibliografia

<http://forsal.pl/artykuly/1020515,marian-pilka-o-ceta-powstajemy-z-kolan-by-pasc-na-twarz-przed-korporacjami.html>

<http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/rynek/1688188,1,dlaczego-bogaci-powinni-dzielic-sie-z-biednymi.read>

R. Rybarski, Polityka i gospodarstwo, Wydawnictwo Nortom, Wrocław 2004 (cytat: str. 21)

Jakub Siemiątkowski - „Skąd bierze się kult UPA?”

Pytanie zawarte w tytule powinien zadać sobie każdy, kto choć trochę interesuje się tym, co dzieje się na Ukrainie. Większość jednak woli pójść po najmniejszej linii oporu: uznać, że każdy niepodległościowo nastawiony Ukrainiec wysłał antypolonizm z mlekiem matki. Merytoryczna nędzka, jaka wylewa się ze znacznej części wypowiedzi formułowanych w środowiskach tożsamościowych nie tylko budzi niesmak – przede wszystkim szkodzi szeroko pojętej „naszej sprawie”. Dlaczego? O tym poniżej.

Punktem wyjścia do tworzenia koncepcji działania wobec jakiegoś problemu musi być poznanie. Możliwie dokładne zgłębienie danego tematu, różnych jego aspektów, przyczyn, charakteru, tego co z niego wynika w praktyce. Dopiero kiedy jesteśmy w stanie odpowiedzieć sobie na szereg pytań wiążących się z tym zagadnieniem, możemy próbować zastanowić się, jak temu problemowi sprostać. W innym wypadku – kiedy nasza wiedza będzie fragmentaryczna, kiedy poddamy się mylnemu osądowi, silnym emocjom, sentymentom – nasze rozwiązania będą obciążone błędami, nietrafione. Bez dobrej diagnozy problemu nie da się znaleźć odpowiedniej recepty. A przecież chyba o to nam chodzi? O sformułowanie realistycznej, zgodnej z interesem Polski odpowiedzi – nie o podtrzymywanie iluzji. Recepty opierające się na tezach oderwanych od rzeczywistości mogą zwieść nas na manowce. Ruch, który nie służy realizacji faktycznych potrzeb narodowych, a zamiast tego woli zadowalać się demagogią, jest narodowi niepotrzebny – może być dlań wręcz szkodliwy.

Tym tokiem myślenia winniśmy się posługiwać w rozważaniach nad sprawami dotyczącymi również polityki wschodniej – w całej różnorodności jej odłonek. Ukraińska polityka historyczna jest zagadnieniem bardzo złożonym, niestety mamy w Polsce tendencję do postrzegania jej w barwach czarno-białych, w każdej niezgodności z naszą wizją dziejów dopatrujemy się zoologicznego antypolonizmu – często bez jakiegokolwiek zapoznania się z faktami.

Trawestując Dmowskiego, znaczenie tej kwestii trzeba przede wszystkim rozumieć, ażeby móc zająć jakiegokolwiek świadome własnych celów stanowisko. Truizmem będzie stwierdzenie, że ZROZUMIEĆ nie znaczy USPRAWIEDLIWIĆ, ani tym bardziej GLORYFIKOWAĆ. Chcemy wiedzieć jak jest, po to by wiedzieć jak się do tego odnieść – tylko tyle, bądź aż tyle.

O współczesnej, ukraińskiej recepcji mitu UPA napisano już w naszym kraju niejedno naukowe opracowanie – próżno jednak szukać odniesień do nich w publicystyce autorów zarzucających Ukraińcom antypolonizm. Wymieńmy dla porządku najbardziej znane z nich: klasyczny już, opasły tom „Jakiej przeszłości potrzebuje przyszłość?” i nowsza „Ukraina przed końcem Historii”ii Tomasza Stryjka, „Miejsce UPA w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej” Tadeusza Olszańskiegoiii, ostatnio także „Wołyń ’43” Grzegorza Motykiiv. Truizmem jest stwierdzenie, że osoba zainteresowana zagadnieniem winna poznać je także z tej perspektywy.

Czym była Ukraińska Powstańcza Armia?

Gdy czytamy pojawiające się w części mediów artykuły dotyczące UPA, staje nam przed oczami coś w rodzaju hord niezdyscyplinowanych, rządnych krwi sadystów – barbarzyńców wyjętych jakby z innej epoki. Ich celem miałyby być zadawanie okrucieństwa samo w sobie, dążenie do wolności Ukrainy jawi się tu niczym coś w rodzaju pretekstu, zupełnie niktącego w morzu zbrodni. Z tego punktu widzenia nieistotna jest ewentualność, że formacja ta mogłaby mieć na koncie zbrojną walkę o niepodległość. Taki punkt widzenia jest z polskiej perspektywy zrozumiały, ale przecież jeśli chcemy poznać przyczyny kultu UPA u naszych sąsiadów, zmuszeni jesteśmy zgłębić jego podstawy. Leżą one w innym wyobrażeniu UPA, opierającym się na tej części dziejów formacji, która jest u nas na ogół zupełnie deprecjonowana – w imię dążenia do uczynienia zbrodni ludobójstwa jedynym istotnym historycznie czynem dokonany przez UPA, neguje się często toczoną przez nią wojnę z wojskami okupanta.

Jak było w rzeczywistości? Czy – nie umniejszając w żaden sposób ogromu popełnionych przez nią zbrodni – da się oszacować skalę antysowieckiego oporu UPA i zestawić go z analogicznymi działaniami innych formacji partyzanckich w tym okresie? Mimo różnych niejasności, jest to z pewnością możliwe. Zacznijmy od początku.

Wbrew popularnemu w Polsce mitowi, pomimo wieloletniej współpracy OUN z Hitlerem, UPA prowadziła walki z Niemcami – na Wołyniu, w początkowym okresie swojego istnienia nawet na całkiem sporą skalę. Czasem pisze się na Ukrainie wręcz o antyniemieckim „powstaniu”, raczej przesadnie, ale przecież nawet w Polsce bywa, że i Czerwiec '56 nazywa się powstaniem. Faktem jest, że UPA w pewnym momencie przejęła z rąk niemieckich kontrolę nad niemałymi obszarami Wołynia, tworząc republiki partyzanckie, z kołkowską na czele. Zorganizowano tam nawet ukraińskie szkolnictwo – ów podnoszony często przez ukraińską politykę historyczną epizod skończyło zmiżdżenie tych twórców przez Wehrmacht, w toku – jak by nie było – walk zbrojnych. To również w walce z Niemcami, w maju 1943 r., razem z 10 bojownikami poległ m.in. Wasyl Iwachiw, faktyczny twórca i pierwszy dowódca oddziałów partyzanckich UPA, ale i najprawdopodobniej jeden z autorów planu eksterminacji polskiej ludności Wołynia. W ogóle epizod walki UPA z Niemcami bardzo mocno powiązany jest z wołyńskim ludobójstwem – notabene w samych Kołkach miał miejsce mord na Polakach, ale i wcześniej, w lutym 1943 r. pierwsza masowa zbrodnia we wsi Parośla została dokonana przez sotnię UPA Hryhorija Perehijniaka ps. „Dowbeszka-Korobka”, która dopiero co wracała z pierwszej akcji zbrojnej UPA – ataku na niemiecki posterunek we Włodzimiercu.

Od czasu objęcia dowództwa UPA przez Romana Szuchewycza starcia zbrojne z Niemcami stały się znacznie rzadsze, nieraz dochodziło z nimi do porozumień, generalnie zrozumiałych z punktu widzenia położenia w jakim znajdowali się ukraińscy nacjonaliści.

Większa zawziętość charakteryzowała boje banderowców z sowietami. Starcia UPA z Armią Czerwoną i wojskami NKWD toczono na bardzo dużą skalę. W największej bitwie pod Hurbami w kwietniu 1944 r. wzięło udział 15 tys. żołnierzy wojsk NKWD (według źródeł banderowskich – 30 tys.) i 4 tys. partyzantów UPAwi. Dla porównania – w największych bitwach z komunistami stoczonych przez polskie podziemie zbrojne (pod Kuryłówką, w Lesie Stockim, pod Miodusami Pokrzywnymi) liczba walczących łącznie po obu stronach nie przekraczała 1 tys. Porównywalne są natomiast największe – nie licząc wyjątkowego w skali Europy Powstania Warszawskiego – starcia AK i innych formacji z Niemcami, jak bitwa pod Osuchami w czerwcu 1944 r.

W latach 1944-1953 na terenach samego ZSRR ukraińskie podziemie przeprowadziło ponad 14 tys. akcji zbrojnych przeciw sowietom. Zabito w nich ponad 30 tys. osób, w tym niecałe 8,5 tys. żołnierzy Armii Czerwonej i NKWD, ok. 3 tys. przedstawicieli organów władzy. Połowę stanowiła ludność cywilna – tak jest w przypadku działań większości formacji partyzanckich, choć i wówczas dochodziło do okrutnych mordów na zupełnie niewinnych ludziach. UPA działała również w granicach Polski Ludowej, stanowiąc notabene jedną z silniejszych formacji partyzanckich na jej obszarach – na jej konto należy zaliczyć jakąś część strat jakie ponieśli w tych latach komuniści.

Pewne niejasności pojawiają się w odniesieniu do liczby żołnierzy UPA. 30-35 tys. żołnierzy nie wygląda może imponująco na tle 350 tys. żołnierzy AK, zestawienia takie są jednak bardzo mylące. Jako żołnierze UPA liczeni są partyzanci, działający z bronią w ręku w lasach, podczas gdy do AK zaliczamy także tych, którzy operowali w ramach siatki cywilnej. Oddziały partyzanckie AK – i te można zestawiać z UPA – liczyły w trakcie Akcji „Burza” kilkadziesiąt do 100 tys. żołnierzy. Do banderowskiego ruchu oporu zaliczać należy także cywilną siatkę OUN i Samoobronne Kuszczowe Widdiły – chłopską formację działającą na zasadach samoobrony (mającą również udział w zbrodniach na Polakach).

Co właściwie mówią nam podane cyfry? Są oczywiście daleko mniejsze niż straty ponoszone przez regularne armie w wielkich bitwach II wojny światowej, ale mówimy tu przecież o walce partyzanckiej. Dla porównania zauważmy, że w czasie trwających łącznie 11 lat dwóch wojen w Czeczenii Rosjanie stracili ok. 11-12 tys. żołnierzy. Trwająca ponad 9 lat interwencja w Afganistanie pochłonęła z kolei 9 tys. radzieckich żołnierzy. Co prawda Czeczenia jest od Wołynia i Galicji znacznie słabiej zaludniona, ale już Afganistan miał w czasie tej wojny ok. 2,5 razy więcej mieszkańców. Oba konflikty, ze względu na swoją intensywność, bardzo mocno wryły się w świadomość historyczną narodów.

Jak wygląda porównanie oporu UPA z walką antykomunistyczną w innych krajach? Jak pisze dr hab. Rafał Wnuk, największa intensywność działania charakteryzowała podziemie litewskie i zachodnioukraińskie. W przeliczeniu na liczbę mieszkańców UPA zabiła 4-krotnie więcej Sowietów – żołnierzy, członków aparatu partyjnego, cywili niż polskie podziemie. Historyk ów budzi na prawicy wiele kontrowersji (często słusznych), dodajmy wszelako, że opiera się on w swoich porównaniach na jedynych danych, którymi dysponujemy – danych pochodzących z raportów komunistów sowieckich i polskich. Generalnie można przyjąć, że antykomunistyczne zbrojne podziemie polskie i podziemie banderowskie stanowiły zjawiska o podobnej wielkości, choć w tym drugim przypadku funkcjonujące na mniejszym obszarze, o znacznie mniejszej liczbie ludności. Było to poniekąd skutkiem sytuacji, jaka zapanowała na poszczególnych ziemiach, zajętych przez komunistów.

W wytworzeniu się mitu UPA istotny był nakładający się na powyższe zjawisko kontekst. W wyniku represji za działalność UPA Sowietzi zabili 153 tys., aresztowali 134 tys., deportowali 203 tys. mieszkańców zachodniej Ukrainy – inaczej mówiąc, co dziesiąty z nich był aktywnie prześladowany przez komunistów. Są to liczby zupełnie nieporównywalne z represjami dotyczącymi ludności cywilnej w innych niż ZSRR krajach bloku wschodniego. Sowietzi traktowali zachodnią Ukrainę jako kraj okupowany, z kolei w świadomości statystycznego mieszkańca tych ziem upowieć uchodził za obrońcę zwykłego człowieka, co przekuło się w kulturowany w wielu rodzinach mit. Łatwiej przecież opowiadać wnukom o czynach bohaterskich niż o mordowaniu kobiet i dzieci.

Innymi słowy, UPA była dość dużą formacją partyzancką o bogatej karcie bojowej, obiektywizm każe stwierdzić, że wiele epizodów z jej dziejów musiało nosić charakter heroiczny. Sytuacja jaka zapanowała na zachodniej Ukrainie, masowe represje na ludności cywilnej, wydatnie wzmacniały mit tej formacji – zapisała się ona w pamięci przeciętnego mieszkańca tych ziem w jedyny sposób, w jaki mogła się zapisać.

Czy można mówić o żołnierzach UPA jako o bohaterach narodowych Ukrainy? Często pada zarzut, że to niewłaściwe, bowiem bardzo wielu z nich ma na sumieniu niewinnych. Pada często teza, że upowcy w ogóle nie byli żołnierzami, bo honor żołnierza nie pozwala na takie czyny. Zasadne staje się tu pytanie, czy fakt dokonywania zbrodni, nawet masowych, na niewinnej ludności cywilnej w pełni niweluje ewentualne bohaterstwo na polu bitwy i zasługi dla sprawy narodowej. Jeśli przyjąć taki pogląd, to i tak rzut oka na bohaterów czczonych w wielu innych krajach każe stwierdzić, że nie tylko Ukraińcy oddają hołd ludziom, których ręce unurzane są we krwi po łokcie.

O zapominaniu ludobójstwa

UPA jednocześnie była z pewnością formacją ludobójczą. Rzeź Wołyńsko-Galicyjska, niezależnie od tego czy liczbę ofiar będziemy oceniać na 55-85 tys. (G. Hryciukx), 100 tys. (G. Motyka) czy 120-130 tys. (E. Siemaszko), była wydarzeniem bez precedensu w tym okresie. Żadna partyzantka antykomunistyczna nie popełniła tak licznych zbrodni, ani nie kierowała się w swojej działalności tak ludobójczymi motywami. Próby tłumaczenia się z tych faktów, formułowane przez główny nurt współczesnej ukraińskiej historiografii, wyglądają nader nieporadnie. Trudno nie zauważyć w wielu wypadkach złej woli, choć należy odnotować także przykłady historyków, którzy nie negują faktu dokonania przez UPA ludobójstwa (m.in. I. Iljuszyn, J. Hrycak). Wielu innych zachowuje do tych wydarzeń stosunek bardzo krytyczny, choć unika tego terminu. „Jej [antypolskiej akcji UPA – przyp. JS] cele, środki, przebieg i skutki muszą być jednoznacznie potępione”^{xi}, napisał jeden z nich. Trudno się z tym nie zgodzić, choć przecież oczywistością jest, iż taki proces nie zajdzie z dnia na dzień, pod dyktando czyichś wypowiedzi, jak chcieliby ludzie naiwni.

Nie sposób nie dodać tu, że świadomość skali zbrodni dokonanych przez UPA jest na Ukrainie wciąż mała. Do 2003 r. (tj. do obchodów 60. rocznicy Rzezi Wołyńskiej) temat właściwie nie istniał w świadomości społecznej. Prof. Hrycak, historyk, który nie boi się używać terminu ludobójstwo w odniesieniu do wydarzeń z 1943 r., pisał, że nawet jego znajomi po fachu często dopiero wtedy dowiadywali się o tych wydarzeniach^{xii}. Mniej więcej od tego momentu dominuje na Ukrainie teoria o równowadze krzywd po obu stronach. Dodajmy, że także cytowane przez (nie będący bynajmniej krynicą obiektywizmu) portal Kresy.pl danex^{xiii} wskazują, że również dziś Ukraińcy mają o Rzezi Wołyńskiej dość mętne pojęcie.

Na to nakładają się popularne w różnych kręgach narracje m.in. o rzezi na Polakach jako wojnie ludowej – krwawym chłopskim odwecie za wielowiekowe krzywdy czy sowieckim autorstwie mordów. Faktem jest, że w czerwcu 1945 na zachodniej Ukrainie działało 157 pozorowanych specgrup NKWD^{xiv}, podszywających się często pod banderowców. Choć żadnej z nich nie udowodniono udziału bądź inspirowania mordów na polskich wioskach, to właśnie w tym epizodzie należy się dopatrywać źródeł popularnego na Ukrainie mitu.

Nie powinno nas dziwić wyparcie okrutnych rzezi na Polakach z pamięci, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że przecież te wydarzenia przez kilkadziesiąt lat były właściwie nieobecne również w naszej pamięci zbiorowej. O Rzezi Wołyńskiej w skali masowej Polacy przypominają sobie dopiero od jakichś 6-7 lat, wcześniej co prawda wspomnienia te były obecne w opowieściach ludzi, którzy te wydarzenia przeżyli, czasem dzieląc się nimi z rodziną, ale ogółowi hasło Rzeź Wołyńska mówiło bardzo niewiele. Skoro „zapomniał” naród pokrzywdzony, to cóż dziwnego, że „zapomniał” naród sprawców? Przypadków zbiorowej amnezji znamy przecież znacznie więcej, by wymienić choćby nawet casus walki żołnierzy wyklętych – także przywracanych pamięci historycznej Polaków dopiero w ciągu ostatnich kilku lat, mimo że teoretycznie od 1989 roku nie stało temu na przeszkodzie, a walka z komunizmem była raczej powodem do chwały niż zbiorowej traumy. Naprawdę nie jest epokowym stwierdzeniem, że narody potrafią z różnych

przyczyn „zapomnieć” także o względnie niedawnych wydarzeniach, nawet jeśli były one dla wspólnoty znaczące.

Zachodzi więc pytanie, jak zważyć obie strony działalności UPA – tę heroiczną i tę zbrodniczą. Czy można uwypuklać jedną, kosztem zupełnego zapomnienia o drugiej? Mimo wszystko wydaje się, że punkt widzenia będzie zależał tu od narodowości. Dla nas, Polaków to, że opór UPA był masowy i wytrwały będzie raczej mało istotne wobec faktu, że formacja ta bestialsko wymordowała tysiące naszych rodaków. Czy jednak da się ten punkt widzenia zastosować również w warunkach ukraińskich? Niepoważnym jawi się przeświadczenie, że możemy Ukraińcom swój pogląd w tej kwestii narzucić – historia chyba nie zna takich przypadków, wyjąwszy sytuacje jakiejś długotrwałej totalitarnej okupacji, połączonej z indoktrynacją całego społeczeństwa.

Czym jest mit?

Georges Sorel pisał, że „mało istotna jest wiedza o tym, jakie szczegóły skrywają w sobie mity, którym przeznaczony jest realnie pojawić się na gruncie przyszłych dziejów. (...) Mit liczy się tylko jako pewna całość”^{xv}. Narody wierzą w mity, także te historyczne – idealizując wydarzenia i ludzi, automatycznie zapominają o słabościach i przewinach tej czy innej postaci. Jest to zjawisko, które odnotowujemy na niezliczonej liczbie przykładów, w każdym właściwie narodzie. Od początków cywilizacji największy potencjał mitotwórczy w dziejach ludów miały te postaci, które walczyły o swoją wspólnotę z bronią w ręku – i szczególnie w czasach dla tej wspólnoty trudnych, odwołanie do ich walki pozwalało budować wyobrażenie o ciągłości narodu.

W roku 2012 na łamach „Polityki Narodowej” pisaliśmy, że mit UPA, wówczas jeszcze wciąż wyznawany właściwie jedynie na zachodzie kraju, nosi w sobie na tyle duży potencjał, wygląda na tyle atrakcyjnie, że jest wysoce prawdopodobne, iż będzie on rozprzestrzeniał się na inne części kraju. Większość dzisiejszych antyukraińskich publicystów (również tych inteligentniejszych, dodajmy!) głosiła wówczas, że to nierealne i że zjawisko takie nie ma pola do ekspansji na ziemiach inne niż Wołyń i Galicja. Nie przewidzieliśmy co prawda krwawych wydarzeń na Majdanie i wojny, ale było jasnym, że prędzej czy później może mieć miejsce coś w rodzaju kolejnej „pomarańczowej rewolucji”, której zwycięstwo było istotnym krokiem naprzód w popularyzacji mitu UPA. Co decyduje o nośności mitu UPA i o tym, że już dawno można było przewidzieć bieg wydarzeń w tym zakresie? Po pierwsze, pewien potencjał buntowniczy. Młodzi ludzie lubią powoływać się na formacje, które bezkompromisowo walczyły o jakiś cel, nawet jeśli sami do tego wzorca nie przystają. Przykładów w Polsce nie trzeba daleko szukać. Po drugie, walkę z ZSRR łatwo utożsamić z oporem wobec zakusów Rosji na różne aspekty suwerenności Ukrainy. Mit UPA jawił się tu już dawno jako mit de facto prozachodni, kult UPA stanowił mógł alternatywę dla

wyznawanego przez wcześniejsze pokolenia kultu wzorców sowieckich – raczej niezbyt atrakcyjnych dla młodego pokolenia. Notabene badania dowodzą, że im młodszy i lepiej wykształcony respondent, tym lepszy jego stosunek do UPAXvi. Po trzecie, jak wspomniano, wiedza o zbrodniach UPA była aż do niedawna tak nikła i mętna, że nie odgrywała większej roli. Wątpliwości – jeśli się pojawiały – spokojnie można było zbyć stwierdzeniem w stylu „była wojna, na wojnie dzieją się takie rzeczy”.

Majdan i wojna w Donbasie te wszystkie tendencje wzmocniły, uwydatniły. UPA, mimo że operowała na niewielkiej części terytoriów wchodzących dziś w skład Ukrainy, jawiła się w dobie walki z przeciwnikiem tak otwarcie czerpiącym z asortymentu wzorców komunistycznych, wyborem naturalnym, oczywistością. Czerwono-czarne flagi na wschodzie i południu Ukrainy nie dziwią już nikogo. Stały się symbolem walki narodu, tak jak UPA stała się integralną częścią wielkiego ciągu, który w powszechnej świadomości składa się na historię Ukrainy – obok Rusi Kijowskiej, kozaczyzny, XIX-wiecznego odrodzenia narodowego itd.

Kusząco, ale i dość infantylnie brzmi padające czasem w Polsce stwierdzenie, że Ukraińcy we własnym interesie powinni wyrzec się UPA. Nie ma chyba w historii przypadku narodu, który z własnej woli, dla korzyści choćby nawet geopolitycznych wyparł się pamięci o ludziach, których czczył jako bohaterów narodowych. Poddane forsownej denazyfikacji, a następnie dyktatowi marksizmu kulturowego Niemcy z pewnością nie stanowią tu adekwatnego przykładu – można bowiem domniemywać, że w innych okolicznościach państwo to zapewne spoglądałoby na swoją wojenną przeszłość nieco inaczej.

Czasem pojawiają się głosy, że Ukraińcy mogliby postawić na piedestale inne formacje i postaci z XX-wiecznej historii swojego kraju, takie jak wojska URL czy politycy ukraińscy współpracujący z władzami II RP. O ile w pierwszym wypadku należy mieć żal, że tak się nie dzieje (wynika to choćby z większej odległości czasowej, a co za tym idzie choćby brakiem – od dawna – żywych weteranów tych walk), to w drugim trudno się temu dziwić. Być może z naszego punktu widzenia sympatycznym byłoby nawiązywanie przez współczesnych Ukraińców nawet do polityków ukraińskich zabitych przez OUN, ale przecież dość typową sytuacją jest tworzenie symboli z tych epizodów, które wiążą się raczej z walką narodowowyzwoleńczą niż z paktowaniem z wrogiem. Przypomina to trochę żale naszych „endekomunistów” i „konserwatystów PRL” o to, że młodzi narodowcy wolą dziś brać na sztandary bezkompromisową walkę NSZ niż koncesje na jakie zdecydował się pójść PAX. Nie ujmując temu drugiemu środowisku, trzeba uznać, że jest ono znacznie mniej atrakcyjne z punktu widzenia potencjału mitotwórczego. Na Ukrainie jest podobnie, a wiedza o skali zbrodni dokonanych przez formację, która była najbardziej bezkompromisową (w czasie II wojny UPA, jako jedyna poważna siła, walczyła zbrojnie o niepodległość Ukrainy) jest – jak już było pisane – niewielka.

Dokąd zmierzamy?

Nie ma szacunku dla faktów ten, kto uważa, że pozytywny stosunek do UPA wiąże się automatycznie z wyznawaniem antypolskich poglądów w odniesieniu do spraw współczesnych – nawet publiczności Kresów.pl, z redaktorem naczelnym włącznie, negowali nieraz ten punkt widzenia.

Współczesny ukraiński nacjonalista nie jest krwiożerczym sadystą, czyhającym tylko na okazję by znów nas rezać, jak to przedstawiają co poniektóre media, prowadzone przez wariatów, ale czasem i po prostu ludzi złej woli. Statystyczny ukraiński nacjonalista przypomina polskiego, ma te same dążenia w odniesieniu do swojego narodu, choć jego metody walki są dziś bardziej zdecydowane, bo i sytuacja znacznie trudniejsza. Tym, co różni go od polskiego narodowca w interesującej nas materii jest spadek po przodkach, znacznie bardziej obciążony krwią niewinnych niż ten, który przypadł nam. I ów Ukraińiec stara się jakoś zmierzyć ze swoją historią. Kiedy ktoś zaczyna burzyć utrwalony w jego głowie mit UPA jako kryształowo czystych rycerzy, on nie dowierza, relatywizuje, daje wiarę spiskowym teoriom i scenariuszom, które możliwie umniejszają winę banderowców.

Tak będzie jeszcze długo, ale wiedza o tym, na jaką skalę UPA mordowała Polaków również będzie się stopniowo przebijać do ukraińskiej świadomości. Trzeba czasu i rozwagi – kto oczekuje by w świadomości narodu przełom dokonał się z dnia na dzień, ten nie ma pojęcia o czym mówi.

Nie chodzi o przejmowanie ukraińskiej narracji historycznej – od tego jesteśmy najdalsi, takie zarzuty są zupełnie bezpodstawne. W walce o prawdę o ofiarach zbrodni UPA nie zamierzamy się cofać. Mowa raczej o tym, że nie da się budować skutecznej polityki, a tak rozumiemy służbę narodowi, bez uwzględniania realiów. Nie da się budować skutecznej polityki opierając się na mylnej diagnozie – a takiej z pewnością sprzyja popularyzowanie tez o szalejącym rzekomo na Ukrainie antypolonizmie.

Nie jest zresztą wcale tak, że w interesie Polski leży jedynie to by Ukraińcy przeprosili nas za rzezie, i na tym będzie można zamknąć cały rozdział pt. „polska polityka wobec Ukrainy”. To oczywisty nonsens. Nasze państwo ma swoje interesy na wschodzie i rozgrywać je może jedynie we współpracy z państwami takimi jak właśnie Ukraina. Nie musimy patrzeć na siebie bezkrytycznie, choć z pewnością nic dobrego nie może przynieść podgrzewanie fobii. Jak to ujął w swoim przenikliwym artykule bynajmniej nie pałający miłością do Ukraińców Tomasz Gabiś: „Bez względu na należy unikać histerycznego tonu przy rozpatrywaniu spraw ukraińskich. Za wielce szkodliwe uznać należy straszenie Ukrainą («banderowcami») i siania antyukraińskiej paniki”^{xvii}.

Sianie takiej hysterii to robienie ludziom wody z mózgu, i to w sprawie nader istotnej. Mówiąc wprost – mamy tu do czynienia z działaniem na szkodę Polski.

i# T. Stryjek, Jakiej przeszłości potrzebuje przyszłość?: interpretacje dziejów narodowych w historiografii i debacie publicznej na Ukrainie 1991-2004, Warszawa 2007.

ii# T. Stryjek, Ukraina przed końcem Historii: szkice o polityce państw wobec pamięci, Warszawa 2014.

iii# T. Olszański, Miejsce UPA w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Dylematy polityki historycznej Ukrainy (Punkt widzenia OSW nr 35, 2013).

iv# G. Motyka, Wołyń '43. Ludobójcza czystka – fakty, analogie, polityka historyczna, Kraków 2016.

v# G. Motyka, Ukraińska partyzantka 1942-1960. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii, Warszawa 2006, s. 192-237.

vi# Tamże, s. 489.

vii# Tamże, s. 650.

viii# R. Wnuk, Antysowieckie podziemie estońskie, łotewskie, litewskie, ukraińskie, białoruskie i polskie. Zarys dziejów i próba porównania [w:] A. F. Baran, G. Motyka, R. Wnuk, T. Stryjek, Wojna po wojnie. Antysowieckie podziemie w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1944-1953, Gdańsk-Warszawa 2012, s. 174.

ix# G. Motyka, Ukraińska partyzantka..., s. 649.

x# G. Hryciuk, Przemiany narodowościowe i ludnościowe w Galicji Wschodniej i na Wołyniu w latach 1931-1948, Toruń 2005.

xi# L. Zaszkilniak, Przyczyny i tło konfliktu polsko-ukraińskiego w latach 1939-1947 (koreferat), [w:] Wołyń 1943 – rozliczenie, Warszawa 2010, s. 23.

xii# J. Hrycak, Tezy do dyskusji o UPA, [w:] Tegoż, Nowa Ukraina. Nowe interpretacje, Wrocław 2009.

xiii# Co Ukraińcy sądzą i wiedzą o Rzezi Wołyńskiej?,

<http://www.kresy.pl/wydarzenia,spoleczenstwo?zobacz%2Fco-ukraincy-sadza-i-wiedza-o-rzezi-wolynskiej> (Dostęp: 25.04.2017).

xiv# G. Motyka, Ukraińska partyzantka..., s. 502.

xv# G. Sorel, Rozważania o przemocy, Warszawa 2014, s. 124-125.

xvi# A. Wylęgała, Podzielona czy zróżnicowana? Jeszcze raz o pamięci społecznej na Ukrainie (z tożsamością w tle), „Kultura i Społeczeństwo”, nr 2/2015, s. 99-116.

xvii# T. Gabiś, Poza „ukrainofilią” i „ukrainofobią” – czas na „ukrainorealizm”,

<http://nowadebata.pl/2017/02/10/poza-ukrainofilia-i-ukrainofobia-czas-na-ukrainorealizm/> (Dostęp: 23.04.2017).

Jan Trzcíński - „Bejtar, czyli historia żydowskiego „fasyzmu””

Są w historii pewne fakty, które choć nie wiadomo jak bardzo dzisiaj wydają się nam nierealne, to jednak po zbadaniu źródeł, relacji, nawet ustnych przekazów - stają się po prostu niezaprzeczalne. I tak np. dziś (w dobie strefy Schengen itd.) przeciętny obywatel III RP nie wyobraża sobie zamkniętych granic, to jeszcze trzydzieści lat temu było to w Europie coś zupełnie normalnego. Dziś wielu naszych rodaków nawet nie myśli o ewentualności konfliktu zbrojnego w tym regionie świata - a lata temu uczucie zagrożenia w umysłach naszych przodków było wręcz permanentne. I takim samym faktem jest to, że choć dziś nie widzimy ich w Polsce prawie w ogóle (a już na pewno nie ubranych w swoje tradycyjne, ortodoksyjne stroje), to jeszcze przed II Wojną Światową mieliśmy w swych granicach być może nawet trzy miliony obywateli pochodzenia żydowskiego. Nadejście okupanta niemieckiego zakończyło kilkusetletnią, polsko-żydowską koegzystencję (trudną, bo trudną, ale jednak funkcjonowała) śmiercią milionów Polaków i Żydów, a dziś przedstawiciele obydwu tych narodów wiedzą o sobie naprawdę niewiele. W Izraelu mówi się zazwyczaj o Polsce albo źle, albo wcale - pochwały dla naszego narodu płyną tam chyba tylko z ust nielicznych już dzisiaj ocalałych, którym Polacy w latach 1939-1945 według chrześcijańskiego obowiązku bardzo pomagali. W polskich szkołach np. młodzież słyszy słowo "Żyd" chyba tylko na (i tak nielicznych) lekcjach historii, lub przy okazji omawiania kilku mało znaczących lektur dla szkoły średniej - jeden i drugi przedmiot w tym wypadku kładzie nacisk na ich straszliwą Zagładę. Czyż sprowadzanie tak długiej wspólnej historii obu etnosów do wyłącznie jej drastycznego zakończenia, nie jest czymś absurdalnym? Jeśli chodzi o publicystykę historyczną, to taką tendencję widać zarówno wśród lewacko-liberalnych filosemitów, którzy dzieje Żydów w Polsce sprowadzają do ich wymordowania przez Niemców (w czym idąc rzeczą jasną za "wielkim autorytetem" Jana Tomasza Grossa, Polacy brali aktywny udział); natomiast wśród równie głupawych szurprawicowych antysemitów spod znaku wszelakiej maści portali prawdy objawionej, rola Żydów w Polsce ogranicza się do ich kolaboracji z kim się dało podczas II Wojny Światowej.

Jakie natomiast spojrzenie na tzw. "historyczną kwestię żydowską" powinien mieć nacjonalista? Nacjonalista, a zatem człowiek kierujący się w życiu pewnymi szczególnymi wartościami, a co za tym z kolei idzie - człowiek mądry i rozsądny - powinien być w takich sprawach jak ta, przede wszystkim realistą. Realistą, który jest świadom złożoności problemu Żydów w międzywojniu w Polsce, świadom także ówczesnego stanowiska polskich nacjonalistów na to zagadnienie, jak i dzisiejszej sytuacji geopolitycznej. Zaczynając od początku - w XIX wieku, zarówno wśród intelektualistów, jak i wśród szerokich mas społecznych większości narodów Europy, zapłonęła idea narodowa; lecz prawdziwy, żywy jej płomień został wzniecony dopiero w latach 20-30. XX wieku. Nie inaczej było ze społecznością żydowską, która - chcąc, nie chcąc - bardzo licznie zamieszkiwała wtedy Europę. Początkowo pojawił się syjonizm i sprzeciw wobec judaistycznej tradycji diaspory, sprzeciw wobec "życia pośród gojów"; potem Żydzi zaczęli emigrować do tureckiej jeszcze wówczas Palestyny, a w okresie międzywojennym można było już zaobserwować silny, radykalny ruch polityczny syjonistów-rewizjonistów (który swoją drogą podobnie jak większość ruchów nacjonalistycznych Europy, mocno wzorował się na doktrynie B. Mussoliniego). Organizacji 'Bejtar', bo tak się ten ruch nazywał, poświęcę ten właśnie artykuł.

1 marca 1920 roku na terytorium północnej Palestyny (o której wówczas - zaraz po upadku Imperium Osmańskiego i podziale jego dawnych, rozległych ziem - mówiło się jak o ziemi niczyjej) doszło do słynnej bitwy pod Tel Chaj. Była to jedna z wielu osad założonych na początku XX wieku przez napływających z Europy syjonistów - osadników żydowskich wierzących w ideę niepodległego państwa Izrael. Palestyna po upadku państwa Osmanów została podzielona na dwie części - południowy mandat Wielkiej Brytanii i północny mandat Francji, gdzie arabscy nacjonaści zdecydowali się siłą wydrzeć sobie prawo do ustanowienia niepodległych państw (w tym Syrii). Tego właśnie dnia pod Tel Chaj podeszły liczące kilkuset ludzi oddziały arabskich Beduinów i wskutek prawdopodobnie fatalnego nieporozumienia - doszło do walki, w której zginęło zaledwie kilkanaście osób... jednak osada została spalona, a Żydzi wypędzeni. Poległ również dowódca obrony Tel Chaj - Josef Trumpeldor - i to właśnie wokół jego osoby powstała później legenda tak znaczna, że zdołała zainspirować cały ruch polityczny. 'Bejtar' został założony trzy lata później w Rydze (Łotwa) i szybko zdobył popularność wśród żydowskiej młodzieży o poglądach syjonistycznych, która (podobnie jak np. młodzi endecy w II RP) ulegała szybkiej radykalizacji poglądów i metod działania. Założyciel i główny przywódca bejtarowców - Władimir Żabotyński - kursował zresztą początkowo między Palestyną (gdzie syjoniści toczyli walki z Brytyjczykami i Arabami), a Europą, gdzie postulował wśród młodych Żydów natychmiastowe opuszczenie kontynentu i przyłączenie się do budowy państwa żydowskiego. Jak zaś do popularności ruchu "nowych syjonistów" przyczyniła się legenda Tel Chaj, jaki miała wpływ na poglądy jego działaczy? Otóż choć bitwa pod Tel Chaj była w istocie niewielką potyczką, to jednak syjonistom udało się tę sprawę "rozdmuchać" do tego stopnia, iż zbudowano wokół poległych tam obrońców osady pewien kult. Kult poległych oraz pilną potrzebę budowy Nowego Żyda - wojownika, żołnierza, budowniczego ojczyzny. Brzmi znajomo? To nie koniec cech wspólnych z międzywojennymi nacjonalizmami Europejczyków.

Młodzi żydowscy synowie zrzeszeni w organizacji 'Bejtar' cechowali się niebywałą wręcz wiarą w osiągnięcie własnego celu - a ich celem była przede wszystkim budowa fundamentu pod przyszłe, niepodległe państwo. Tym fundamentem miał być nowy typ żydowskiego mężczyzny - nie kupiec, drobny krętać, czy rzemieślnik (jakich pełno było w Europie wśród Żydów w międzywojniu), tylko żołnierz, wręcz wojownik, wytrwały rolnik i kolonista. Bejtarowcy (podobnie jak większość europejskiej, nacjonalistycznej młodzieży w tamtych czasach) szkolili się w walce i sporcie, by po wyjeździe do Palestyny móc dorównać uzbrojonym po zęby Brytyjczykom i Arabom, z którymi toczono tam ciągle walki. Ich działalność polityczna w Europie skupiała się (oprócz promowania życia osadniczego na Bliskim Wschodzie) na zwalczaniu innych poglądów w społeczeństwie żydowskim - szczególnie tych, które mogły zaszkodzić idei syjonistycznej, a więc lewicowych. 'Bund', a więc socjaldemokraci, wręcz otwarcie krytykowali swoich pobratymców ubranych w brnatne koszule i powołujących się na legendę zbrojnego oporu Trumpeldora (czy nawet żydowskich powstańców przeciw Rzymowi sprzed dwóch tysięcy lat - liczył się kult walki, a nie pokornej diaspory). Bundyści i bejtarowcy toczyli ciągle walki uliczne, przy czym ci pierwsi uważali 'Bejtar' za "faszystów" i "hitlerków", a ci drudzy utożsamiali 'Bund' z komunizmem, internacjonalistycznym oporem wobec państwa narodowego. 'Bejtar' był w tym wypadku na lepszej

pozycji, bowiem bundyści jako socjaldemokracja byli uznawani w np. Związku Radzieckim za "obrzydliwych reakcjonistów" i na wsparcie tam raczej nie mogli liczyć. Bejtarowcy natomiast utrzymywali dobre kontakty z RNR-Falangą, czy nawet rządem sanacji (który czasami decydował się ich szkolić, by przyspieszyć wyjazdy Żydów do Palestyny i uśmierzyć niepokoje społeczne tej olbrzymiej mniejszości narodowej) jeśli mówimy o Polsce, a co się zaś tyczy innych krajów Europy... to wystarczy powiedzieć, że włoscy faszyci skupieni w organizacji młodzieżowej 'Balilla' aktywnie współpracowali z bejtarowcami, przy wielkiej aprobachie Mussoliniego. Ten ostatni wyrażał się o Żabotyńskim, czy ogółem o ruchu syjonistów-rewizjonistów bardzo pozytywnie - było to dość zrozumiałe zważywszy na uniwersalistyczny charakter faszyzmu, jak i na to, że powstające państwo Izrael mogłoby zagrozić dominacji Brytyjczyków na Bliskim Wschodzie.

Żydzi z 'Bejtaru' nosili - wzorem innych młodzieżówek narodowych - jednolite umundurowanie, które w tym wypadku stanowiły piaskowe koszule i czarne spodnie oraz krawaty. Pozdrawiali swoich przywódców - w tym Żabotyńskiego, który był raczej akurat kojarzony z najmniej radykalnymi poglądami pośród kadry - prawą dłonią wyciągniętą w tzw. salucie rzymskim. Co się zaś tyczy szerszej skali poglądów - to krytykowali wśród swoich rodaków nie tylko postawy lewicowe i asymilacyjne, ale także konserwatywne, ortodoksyjne, które tkwiły w zastoju diaspory i nie reagowały na drastycznie zmieniający się świat. Krytykowali także zarówno kapitalizm, jak i socjalizm - opowiadali się za solidaryzmem narodowym, uznając go za jedyne system, jaki mógł zaistnieć w zdrowym, sprawiedliwym, narodowym państwie żydowskim w Palestynie. Analogii do międzywojennych, europejskich nacjonalistów jest wiele i można je wyliczać w kółko - dla przykładu gdy lewicowi i demokratyczni przeciwnicy w Polsce określali działaczy RNR-Falangi "faszystami" lub nawet "hitlerowcami", podobne porównania wysuwali ich żydowscy publicyści i politycy wobec własnych rodaków zrzeszonych w 'Bejtarze'. Falanga miała w pogardzie bolszewizm oraz zgniły liberalizm - to samo cechowało bejtarowców, którzy zresztą czerpali wzorce z polskiego nacjonalizmu, podziwiając go i biorąc sobie za przykład. O czym to wszystko świadczy? O tym, że idea narodowa - nacjonalizm - nie jest poglądem zarezerwowanym dla jednej kultury, czy rasy. My - polscy narodowcy - nie jesteśmy (wbrew panującej wśród liberałów opinii) ludźmi zamkniętymi na świat, ludźmi nie potrafiącymi zawierać strategicznych sojuszy z narodami nawet obcymi nam kulturowo... ale to stwierdzenie na łamach Szturmu nie jest raczej niczym niezwykłym. Faktem jest, że nacjonaści całej Europy potrafili solidaryzować się wówczas z nacjonalistami żydowskimi, bo po pierwsze - widzieli w nich tych samych bojowników o ideę, politycznych żołnierzy własnego narodu, jakimi sami byli; po drugie - wróg mojego wroga to mój przyjaciel, a przy ogromnej mniejszości żydowskiej w Europie, każdy Żyd walczący z rozrastającym się bolszewizmem i wszechobecną, liberalną zgnilizną, był na wagę złota; po trzecie - wierzyli, że państwo Izrael jest Żydom potrzebne, aby opuścili kraje europejskie raz na zawsze.

Co się zmieniło? II Wojna Światowa doprowadziła zarówno do zagłady Żydów, jak i do triumfu idei syjonistycznej - jeden z dowódców Bejtaru, Menachem Begin, w latach 70. XX wieku został nawet premierem Izraela powstałego w 1948 r. pod presją zwycięskich mocarstw Zachodu. Wtedy dopiero jasnym się stało, że kredyt zaufania dany syjonistom przez polskich nacjonalistów, okazał się być marną i moralnie niesłuszną inwestycją. Zmieniło się głównie to, że idea Bejtaru uległa (zresztą

podobnie jak niemal cała, mainstreamowa prawica Europy Zachodniej) degeneracji - dziś syjoniści nie są już walecznymi bojownikami o naród, państwo i ideę.

Dziś nacjonalizm żydowski nie neguje demokracji liberalnej, czy jej prawnych i kulturowych wytworów, a kojarzy się już tylko z prześladowaniem innego narodu - w tym wypadku narodu palestyńskiego - który został na własnej ziemi zepchnięty do roli marginalnej. Wszystkie ideały Bejtarowców zostały porzucone przez ich spadkobierców - nie ma już silnego ducha politycznego żołnierza w Izraelu, brak tam jakiegokolwiek głosu w szerszej debacie o tym, by Palestyna została sprawiedliwie podzielona między dwa państwa: Arabów i Żydów (jak zresztą zakładał Żabotyński). Dziś spadkobiercami Bejtaru nazywają się bandyci hołdujący coraz większym represjom względem walczącym o swą wolność Palestyńczykom i wykorzystujący mity towarzyszące powstaniu w gettcie warszawskim (1943) czy całej Zagładzie do własnych (często politycznych) celów. Ci ludzie nie są już idealistami, dla nich liczą się zyski odniesione kosztem tych, którzy są teraz w podobnej sytuacji, jak oni byli dawno temu. Czego uczy nas ta historia? Nie będę się tu zdobywał na stwierdzenia typu "musiało się to tak skończyć, każdy Żyd jest zły, nie można im ufać", bo jest to po prostu absurdalne. Tak samo nie uważam, aby entuzjazm towarzyszący polskim nacjonalistom w stosunku do Bejtaru w międzywojniu, powinien pozostać względem dzisiejszych syjonistów aktualny, wręcz przeciwnie. Historia ta uczy nas przede wszystkim tego, że nawet bardzo szlachetne w swych założeniach i pierwszych fazach wdrażania idee, mogą po prostu ulec degeneracji, a ludzie niosący je na swych sztandarach mogą stać się jedynie masami wycierającymi sobie nimi gęby w dążeniu do swych obłudnych celów. Oraz tego, że nasi ideowi poprzednicy z lat 20. i 30. XX wieku, totalnie się pomylili, udzielając tak dużego wsparcia bejtarowcom.

Izrael był marzeniem żydowskiej, nacjonalistycznej młodzieży - dziś jest żydowskiej młodzieży obojętny (sądząc po niskim przyroście demograficznym i licznych wyjazdach do USA, czy Europy - tam również swe ziarno zasiał demoliberalizm), natomiast jest prawdziwym przekleństwem młodzieży arabskiej, z którą ja jako polski nacjonalista muszę i chcę się solidaryzować. Natomiast nikt od degeneracji, jaka dotknęła nacjonalizm żydowski, wolny nie jest - cała zachodnioeuropejska "prawica" (ze szczególnym naciskiem na przykład Frontu Narodowego we Francji) styka się dziś z tym samym problemem porzucenia szlachetnych ideałów w swych szeregach. Tak samo nikt nie jest nieomylny w swych tezach, zatem czynić międzywojennych klasyków autorytetami w kwestii spojrzenia na zagadnienie Izraela, Rosji, czy Ukrainy... jest po prostu błędne. Mój artykuł powstał jako krótkie opracowanie historyczne, przytoczenie ciekawej historii, która wydaje się być w polskim ruchu narodowym nieumyślnie lub celowo pomijana. A przecież jest faktem, a fakty powinno się znać - tym bardziej, jeżeli mogą nas one czegoś nauczyć.

Tomasz Kosiński – „Otto Strasser „Rola Europy””

Niniejszy tekst został napisany przez Ottona Strassera na przełomie 1953 i 1954 roku. Opublikowano go w piśmie „The European” prowadzonym przez środowisko Oswalda Mosleya . Był reakcją na wystąpienie Johna Fostera Dullesa na konferencji NATO w Paryżu w dniach 12-16 grudnia 1953 roku. W tekście tym Otton Strasser skrytykował politykę USA wobec Europy Zachodniej oraz przedstawił własną wizję pozycji Europy w światowym systemie. Warto również zwrócić uwagę na historyczną rolę przypisywaną Niemcom. W kolejnym numerze „Szturmu” zaprezentuję odpowiedź Oswalda Mosleya. - Tomasz Kosiński

Otto Strasser „Rola Europy”

Amerykański sekretarz stanu, John Foster Dulles, uczynił wszystkim Europejczykom wspaniałą przysługę pokazując polityczną otchłań, w które utonęliśmy. Podczas konferencji NATO w grudniu 1953 r. w Paryżu główny polityk Stanów Zjednoczonych poinformował Europejczyków o najnowszych nakazach z Waszyngtonu, aby położyć kres tysiącletniej historii niezależnych narodów i zjednoczyć je w jeden wielki konglomerat wzdłuż linii ustalonych przez USA. Jeśli ktoś wykaże nieposłuszeństwo wobec tego polecenia - oświadczył pan Dulles z godną pochwałą szczerością - Europejczycy zostaliby ukarani, nie otrzymując ani jednego dolara od Ameryki, a Stany Zjednoczone będą zmuszone do porzucenia ich na pastwę Rosjan. Gdyby jednak byli posłuszni, postępowali zgodnie z nakazami z Waszyngtonu, mogliby być pewni, że otrzymają dodatkowe dolary, a nawet amerykańskie bomby atomowe, którymi będą bronić siebie (i USA) przed Rosją.

Konieczne jest dokładne przytoczenie słów p. Dullesa, aby w pełni określić amerykańskie ultimatum. New York Times z 15 grudnia (1953 roku – przyp. tłum.) przytoczył następujące wypowiedzi z oświadczenia p. Dullesa. Część miała miejsce na samym posiedzeniu NATO, część podczas konferencji prasowej w związku z nią: „... Stany Zjednoczone stoją na stanowisku, że europejska cywilizacja powinna przetrwać . Nie może się to obyć bez wspólnoty europejskiej, która łączy się nierozzerwalnie z interesami i zdolnościami dwóch wielkich narodów w sercu Europy - Francji i Niemiec. Trudno mi byłoby wyolbrzymiać niepokój z jakim nasi ludzie oczekują na dokonanie tego historycznego aktu (sic). Jeśli jednak Europejska Wspólnota Obronności nie zostanie skutecznie powołana: jeśli Francja i Niemcy nie połączą się, pozostaną potencjalnymi wrogami, wtedy zaistniałyby poważne wątpliwości, czy Europa kontynentalna może stać się miejscem bezpiecznym. Wymusiłoby to ponowną ocenę polityki Stanów Zjednoczonych. Jeśli Europa Zachodnia ma rozwijać polityczną, gospodarczą i militarną współpracę, która obejmie Francję i Niemcy, to musi się to zdarzyć wkrótce” Dulles rozszerzył później swoje stanowisko na konferencji prasowej, gdy powiedział: „Jak widzimy, nasza polityka europejska ma uczynić z

Europy silny i bezpieczny dom dla zachodniej cywilizacji Jak widzimy, powojenne planowanie Europy Zachodniej ma na celu poprawę niektórych z tych poważnych błędów z przeszłości i stworzenie sytuacji, w której narody zachodnie zaprzestaną tego samobójczego konfliktu, w którym brały udział w ostatnich wiekach. W sercu tego jest oczywiście sprzymierzenie się z wielkimi mocarstwami, Francją i Niemcami, rozumiemy, że polityka krajów Europy kontynentalnej ma stworzyć zjednoczenie, które uniemożliwi ponowny wybuch konfliktów. Jeśli w przeciwieństwie do naszych nadziei i przekonań tak się nie wydarzy, zmusiłoby to Stany Zjednoczone do rewizji, ponownej oceny polityki zagranicznej Stany Zjednoczone interesowały się przede wszystkim ujednoczeniem Francji i Niemiec, które jest możliwe, ale również niemożliwe jest, aby Francja i Niemcy znów walczyły ze sobą. Dwie wojny światowe wyłoniły się z tej sytuacji, a jeśli jeszcze inna wojna z niej wyjdzie, to będzie to ich odpowiedzialność, a taka możliwość wymagałaby od Stanów Zjednoczonych ponownego rozważenia swojej polityki Jeśli one (zachodnie Kraje) zdecydują się popełnić samobójstwo, muszą popełnić je same ... "

Jak można zauważyć, powyższe obserwacje amerykańskiego sekretarza stanu odznaczają się nie tyle brakiem inteligencji czy ich historyczną dokładnością, ale niezrównaną hipokryzją; ukrytymi zagrożeniami. Cały świat trzęsie się z obawy przed możliwym starciem dwóch gigantów atomowych, Rosji i Ameryki - w którym każda ze stron szuka wszelkich środków, aby zmusić inne narody świata do opowiedzenia się po jednej lub drugiej stronie. Zimna wojna dzisiaj i prawdziwa wojna jutra. Jeden z tych goliatów będzie próbował obarczyć winą za ataki, za wywołanie III wojny światowej inne narody - jest zarówno obsceniczny, jak i absurdalny. Niemal w istocie słusznie można stwierdzić, że rywalizacja francusko-niemiecka nie była wystarczająca, aby doprowadzić do dwóch wojen światowych, a raczej interwencja w tym konflikcie ze strony zewnętrznych mocarstw, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych spowodowały rozprzestrzenianie się niepokoju. Bez ingerencji ze strony sił nieeuropejskich konflikt pozostanie lokalny - wojna w Gran Chaco między Boliwią i Paragwajem była wojną lokalną z prostego powodu, żadna zewnętrzna siła nie włączyła się do sporu. Postarajmy się wyobrazić sobie dzikie oburzenie Waszyngtonu, jeśli Hitler przystąpiłby do tej wojny po stronie Paragwaju - lub jeśli Stalin wysłałby wojska, aby pomóc Boliwii!

Najtragiczniejsze jest to, że Rosja i Stany Zjednoczone uznały za właściwe, aby zmagać się z problemami europejskimi . Należy żałować, że wraz z doniosłym powiadomieniem, które zostało doręczone światu w dniu 2 grudnia 1823 r., nie ma obecnie podobnej „doktryny z Monroe”. Zjednoczona Europa powstała, aby chronić nasz kontynent przed ingerencją obcych. Gdyby coś takiego miało miejsce, to z całą pewnością historia świata w ciągu ostatnich stu dwudziestu pięciu lat przybrałaby inny i lepszy kurs. Tak więc groźba amerykańskiego Sekretarza Stanu, że w przyszłości Ameryka pozostanie poza zasięgiem spraw międzypaństwowych, nęka wszystkich prawdziwych Europejczyków. Rzeczywiste przeprowadzenie takiego działania pomogłoby załagodzić obecne napięcie na świecie bardziej niż pompowanie amerykańskich broni atomowych w RFN i nieokreślone rozmieszczenie amerykańskich sił powietrznych, lądowych i morskich w całej Europie.

Oczywiście, nieuchronny, wąty argument zostanie natychmiast podniesiony, że taka decyzja przekazuje Europę „beztrosko w ręce Rosjan”. Mówienie o „obronie Europy” w ogóle jest zniewagą sporej części kontynentu, który został przekazany tym samym Rosjanom przez Franka D. Roosevelta. To straszne, los przed którym ci gorliwi planiści w Waszyngtonie tak gorączkowo ostrzegają nas dziś, tak wczoraj postawili przed nim ogromną część narodów Europy. Dla tych milionów nie ma nic do „obrony”. Wkroczył już starożytny wróg ze stepów - aby spalić i łupić, zabijać i uciskać. Zastanówmy się jednak nad omawianą kwestią „obrony Europy”. Na pewno nie może tak być, że świat tak szybko zapomniał, jak dwa razy w ciągu trzydziestu lat, Niemcy wykorzystując tylko połowę swej siły, powaliły Rosję na kolana.

Fakt, że to amerykańska pomoc, która uratowała bolszewików po raz ostatni, sprawia, że patriotyczni Europejczycy nie współczują niezadowolonemu panu Dullesowi mówiącemu o obecnej sile Związku Radzieckiego. Jeśli tylko Europa pozostanie sama, może i odeprze każde zagrożenie ze strony Rosji lub z dowolnego, innego państwa. Jako dowód należy przypomnieć sobie surową lekcję, gdy Niemcy - stosunkowo mały naród - potrafiły z jednej strony walczyć i radzić sobie ze Związkiem Radzieckim, a z drugiej prowadzić bitwy ze świeżymi i dobrze wyposażonymi Amerykanami.

Jednak politycy, którzy tak szczerze planują naszą przyszłość są tak samo świadomi tych faktów jak i my. Nie mówili w swych ładnych przemówieniach o tym, że ostatnią rzeczą jakiej chcą to to aby Niemcy były naprawdę silne - wystarczająco silne, aby znów zwyciężyć Rosjan. To wszystko sprawia, że kłamliwe obietnice o „zbawieniu” Europy i jej „cywilizacji” są tak boleśnie zawstydzające. Słyszymy je w języku angielskim, francuskim, czy niemieckim w Bonn. Jeśli Europa jest rzeczywiście tak dekadentka, że nie może istnieć bez wsparcia zewnętrznego, to nie ma żadnej kwoty dolarów amerykańskich czy bomb atomowych, które pomogą. Drzewo drenowane z jego wewnętrznej żywotności nie może być ratowane przez podparcie martwych gałęzi.

Europa nie jest ani martwym, ani umierającym drzewem. Jest pełna wewnętrznej żywotności, która ma swoje źródło w jej narodowych i kulturowych różnicach - to jest coś, czego nie zauważył pan Dulles i inni apostołowie tzw. „polityki integracji dla Europy”. To właśnie ta błogosławiona indywidualność każdego narodu naszego kontynentu - te bogate odcienie, różnice między nami; czy to kulturowe, ekonomiczne, wojskowe czy też polityczne - tworzą podstawę wielkości Europy - nadają kształt i kolorystykę kulturze, duszy Europy!

My Europejczycy mamy dość słuchania tej idiotycznej demagogii o tym, jak „potrzebne” jest, aby Europa „łączyła się”! Jesteśmy Hiszpanami i Włochami, Francuzami, Niemcami i Polakami. Jesteśmy Szwajcarami, Duńczykami i Szwedami - jesteśmy Holendrami, Grekami, Bułgarami i mieszkańcami Liechtensteinu - i tylko w tym wymiarze jesteśmy „Europejczykami”. Moment, w którym Europa może zmusić się ze względów praktycznych do jednego, wielkiego zjednoczenia („Wasza produkcja byłaby o wiele tańsza”, powiedzieli nam Baruchowie, Dullesowie i

Monnetowie- a oni figlarnie się zastanawiają jak duże będzie zainteresowanie Banku Światowego „Zjednoczoną Europą”) – będzie momentem, w którym Europa porzuci swoje znaczenie i swoją misję. Tak jak Anglia poświęci swoją pozycję i swoją misję, jeśli zrezygnuje ze Wspólnoty Narodów.

Stany Zjednoczone i Związek Radziecki dały praktyczne przykłady, jak zorganizować produkcję na ogromną skalę, jak przekształcić setki milionów ludzi w bezimienne roboty. Europa nie jest im potrzebna. Jednak ani Rosja, ani Ameryka, nie brały udziału w naszych krucjatach i renesansie - ani też nie zainspirowały naszych narodów zarówno dużych, jak i małych, aby utrwałać ich dusze na wieczność w najbardziej chwalebnej muzyce, rzeźbie, literaturze i malarstwie, które zagnał okcydent.

My, europejscy nacjonaści nie zazdrościmy ani politycznej filozofii sowietów, ani standardów gospodarczych Stanów Zjednoczonych. Nie mamy najmniejszej ochoty, aby rywalizować produkcją czy ilością bomb atomowych. Jesteśmy także świadomi, że nie możemy rywalizować z nimi w tych dziedzinach, jeśli nie chcemy stracić naszej tożsamości. Jesteśmy głęboko przekonani, że nasza egzystencja będzie miała znaczenie tylko wtedy, gdy pozostaniemy Europejczykami.

Żyliśmy naszymi wartościami i wypełnialiśmy naszą misję przez dwa tysiące lat bez Rosji i bez Stanów Zjednoczonych. Zamierzamy to nadal kontynuować .

Patryk Płokita - „Od monarchizmu do nacjonalizmu - krótki opis irlandzkiej partii „Sinn Fein” w latach 1905-1921”

Gdy opowiadamy o irlandzkim nacjonalizmie nie można zapominać o partii „Sinn Fein”. Chciałbym poświęcić krótki tekst na jej temat. Z irlandzkiego „Sinn Fein” tłumaczy się jako „My Sami”. Owe irlandzkie ugrupowanie w XX w. ewoluowało z monarchizmu do nacjonalizmu, oraz z autonomii do pełnej niepodległości w swoim programie politycznym. Oczywiście współczesne Sinn Fein odwołuje się do spuścizny swoich poprzedników, jednak nie jest tym samym tworem. Nie zmienia to jednak faktu, iż obecne Sinn Fein np. w 2008 r. było przeciwnie przyjęciu traktatu lizbońskiego w Irlandii. Obecnie ma charakter lewicowy, narodowy, katolicki, republikański, a gospodarczo propaguje solidaryzm społeczny. Ponadto owa partia wielokrotnie pozytywnie wypowiadała się o dążeniach niepodległościowych Basków oraz Palestyńczyków.

Natomiast wracając do początków - za datę utworzenia zgrupowania uznaje się 28 listopada 1905 r. Na dobrą sprawę był to luźny związek kilku ugrupowań przedstawiających intencje narodowe. W kolejnych latach zgrupowanie to ulegało ewolucji. Przed pierwszą wojną światową Sinn Fein posiadał 128 oddziałów wraz z centrum w Dublinie, co stanowiło małą siłę przebicia w tym czasie. Warto wspomnieć, iż osobą która dała kształt temu ugrupowaniu był Arthur Griffith. (Ta persona zasługuje na oddzielny biograficzny artykuł w najbliższym czasie). Stracił on szybko kontrolę nad Sinn Fein. Przejęło je potajemnie Irlandzkie Bractwo Republikańskie („Irish Republican Brotherhood” - IRB), zwłaszcza po Powstaniu Wielkanocnym(1916).

Od 1905 do 1916 r. partia Sinn Fein przejawiała program polityczny utworzenia autonomii dla Irlandii w ramach monarchii brytyjskiej tzw. zasada „Home Rule”. W latach 1916-1918 partia radykalizuje się zauważalna ze względu na wpływy nacjonalistyczne IRB. W tym czasie prym przejął m.in. Eamon De Valera. Najbardziej rozpoznawalnym mówcą ulicznym partii został wcześniej opisany w artykule w ramach „Szturmu” - Michael Collins. Ważny pozostaje tu rok 1917 - wielu powstańców Insurekcji Wielkanocnej nie miało co ze sobą zrobić (nie miało zapasu do dalszej walki po przegranej), więc wstępowali do Sinn Fein, radykalizując jej szeregi m.in. wspomniany E. de Valera i M. Collins. We wspomnianych dwóch latach doszło do ewolucji myśli przewodniej partii, aby Irlandia uzyskała pełną niepodległość i niezależność od Imperium Brytyjskiego. Pogląd ten miał swoje odniesienie w czynie, w postaci wojny anglo-irlandzkiej w latach 1919-1921, gdzie Sinn Fein stała się główną siłą polityczną dążącą do niepodległości dla Irlandii.

Marek Kubiński - „Śmierć w blasku słońca”

Poświęcenie dla wartości jest stałym motywem zarówno literatury, jak i historii. Poświęcili się szekspirowscy Romeo i Julia, ponieważ nie byli w stanie żyć bez siebie nawzajem. Poświęcił się Roland, ponieważ nie był w stanie znieść życia bez honoru. Nawet współczesna spaczona przez postmodernizm sztuka docenia szlachetną śmierć, chociaż nie mamy już do czynienia ze śmiercią solarnego bohatera na miarę Achillesa czy Hektora.

Na potrzeby felietonu chciałbym przyjrzeć się jedynie dwóm śmierciom. Obie są śmierciami historycznymi, chociaż można je z czystym sumieniem potraktować jak epickie i pouczające mity. Akcja pierwszego z nich rozegrała się na jeziorze Texcoco w nocy z trzydziestego czerwca na pierwszego lipca 1520 roku. Wtedy to konkwistadorzy pod dowództwem Hermana Cortesa spróbowali przedrzeć się przez zbuntowane przeciwko nim miasto Tenochtitlan – stolicę państwa Azteków. Początkowo sytuacja rozgrywała się po myśli Europejczyków. Udało się bez większych starć wydostać się z miasta, jednak metropolia znajdowała się na wyspie pośrodku jeziora. Hiszpanie zdążyli jeszcze wkroczyć na groblę wiodącą przez wody jeziora w stronę zbawionego brzegu. I wtedy zaczęła się rzeź. Garstka Hiszpanów została momentalnie otoczona przez tysiące przygotowanych do walki wojowników. Na domiar złego Aztekowie, przewidując plany konkwistadorów, zniszczyli mosty łączące poszczególne elementy grobli. Co prawda zapobiegliwy Cortes rozkazał zbudować przed bitwą specjalną instalację, dzięki której udało się sforsować pierwszą lukę, jednak prowizoryczne przejście zaklinowało się. Przeklęta była noc, która została skazana na oglądanie tak drastycznych scen. Odwrot zamienił się w masakrę przerażonych Hiszpanów oraz ich sojuszników. Jeden za drugim padali pod ciosami Indian. Szeregi Europejczyków topniały z każdą chwilą, coraz rzadziej świszcząły ich kusze, których nie miał już kto naciągać, coraz rzadziej odzywał się arkebuz, którego strzelec padł przeбитym barbarzyńskim mieczem. Żadna ze stron nie mogła liczyć na litość, jak we wszystkich starciach Okcydentu z Barbarią. Kolejnego epizodu tego starcia nie powstydziliby się Dante i Rabelais, mianowicie dalszy odwrot umożliwiło dopiero powstanie tak wielkiego stosu trupów, który był w stanie zasypać wyrwę pomiędzy groblami. Stąpający po ciałach swoich przyjaciół i wrogów konkwistadorzy przedarli się do następnej luki, gdzie po raz kolejny musieli rozpaczliwie bronić się, aż nie zabili wystarczająco dużo wojowników, tracąc przy tym kolejnych towarzyszy. Szacuje się, że w czasie owej Smutnej Nocy zginęło co najmniej trzy czwarte żołnierzy Cortesa.

Spójrzmy jednak na to wydarzenie z perspektywy pewnego szczegółu – złota. Hiszpanie wynieśli z Tenochtitlan wielkie łupy, które planowali sprzedać w ojczyźnie. Ten, kto nie chciał dobyć broni, ponieważ w ten sposób musiał pozostawić zdobycze – padał zabity przez Indian. Ten, kto wpadłszy do wody, nie chciał porzucić złota, szedł na dno razem z nim, jakby zapadał się w dolinę nicości rodem z prozy Wildsteina. Nie można być jednocześnie żołnierzem i kupcem (kszatryja nie mieszają się z wajsją*). Tylko ci, którzy do jednej ręki chwycili miecz a tarczę do drugiej, dotarli nad ranem na drugi brzeg, by tam przywitać wschód słońca. Tylko bohater zwycięsko przeżył walkę, rabuś poza śmiercią otrzymał też wieczną hańbę. Smutna Noc stanowi przykład triumfu rycerza nad

rozbójnikiem. Herman Cortes okazuje się tym pierwszym – już w następnym starciu prowadzi atak nielicznych jeźdźców, który przeważa szalę zwycięstwa całej wojny.

Kolejny mit, którego zbadanie przybliży nas do konkluzji, miał miejsce w pierwszej połowie pierwszego wieku naszej ery, kiedy pewien Galilejczyk po całodniowej męce wyzionął ducha na krzyżu. Cierpiał ze skierowaną nań tarczą słoneczną. Śmierć następuje po chwili zaćmienia, kiedy światło powraca. Galilejczyk nie poddaje się jednak, tak jak zapowiedział w ciągu trzech dni kruszy więzy śmierci, zmartwychwstając również przy cudownym świetle. Czyniąc życie wiecznym, zadaje śmierć samej śmierci. Zwróćmy uwagę na obrzędowość związaną ze wspomnieniem męki pańskiej. Nie bez powodu nie ma piętnastej stacji Drogi Krzyżowej. Jak zawsze pomocne jest zwrócenie się ku tradycji Kościoła, w postaci wielkopiątkowego nabożeństwa Ciemnej Jutrznii. Składa się ono z gaszenia kolejnych czternastu świateł na piętnastoświecowym świeczniku. Świeca piętnasta zostaje natomiast przeniesiona pod koniec rytuału do ciemnicy, by ostatecznie powrócić na miejsce bez gaszenia, co symbolizuje tylko pozorny triumf śmierci nad nieskończonym życiem Chrystusa. Nabożeństwo to nie jest jednak rozważaniem Zmartwychwstania Pańskiego, tylko Jego Męki. Śmierć jest koniecznym etapem wiecznego życia i wiecznego zwycięstwa. Zwycięstwo ostateczne zawsze wiedzie przez śmierć, czy to na polu walki, czy na miejscu straceń, czy też w spokoju jesienią życia. Chrystus zawsze będzie jawił się nam jako prawdziwy i nieskończony zwycięzca, który rzuca wyzwanie całemu światu i wygrywa. Stanowi to pewną analogię do wymienionego wyżej przywódcy ekspedycji do Tenochtitlan, chociaż Cortes jest tylko człowiekiem, popędliwym, dwukrotnie żonatym i chciwym. Jedyne cuda, jakie w życiu dokonał, to cuda taktyki i logistyki, które wypadają blado przy czynach Syna Człowieczego. Ale z jego wszystkich żądy najsilniejsza zdaje się ta czyniąca go najbardziej podobnego Bogu – wola zwycięstwa. Zdeterminowany dopina swego – walcząc w pierwszym szeregu unicestwienia szatańskie państwo Azteków. Zniszczenie jest tutaj jedynie koniecznym etapem stworzenia. Hiszpanie zbudowali na ruinach Tenochtitlan nowe miasto – Meksyk, a pośród zgliszcz azteckiego państwa wzniesli Nową Hiszpanię. Można by rzec, że żądza zwycięstwa jest charakterystyczna również dla zła, ale w tym wypadku okazują się być ona boską wolą tworzenia.

Oba mity jasno potępiają poświęcenie nieracjonalne. Ci, którzy poświęcają wartość wyższą dla niższej albo co gorsza dla sprawy materialnej – popadają w wieczną klęskę. Tak skończył Judasz sprzedający Mesjasza za trzydzieści srebrników, a także tonący w wodach jeziora wtuleni w kosztowności Hiszpanie. To Chrystus oddający własny żywot za grzesznych ludzi zwycięża całe zło, a ryzykujący własną skórę Cortes triumfuje nad pogańskimi Aztekami. W obu przypadkach postawienie na szali własnego życia jest przemyślane – zwycięstwo i zbawienie jest wartością o wiele ważniejszą niż cała doczesność. Okryci hańbą swoją giną wśród mroków nocy, zwycięscy zaznają triumfu w blasku słońca, choćby na ich drodze nastąpić miała pozorna śmierć.

* Kszatrija – hinduska kasta wojowników; Wajśja – hinduska kasta kupców.

Adam Busse - „Recenzja pisma „Resist””

Numer pisma „Resist” z października 2016 roku wita nas na okładce dynamiczną fotografią przedstawiającą starcie Czarnego Bloku z uzbrojoną w tarcze i pałki policją na ulicach europejskiego miasta. To znakomicie oddaje rewolucyjny charakter czasopisma. Czasopisma związane z antykapitalistyczną, nieformalną siecią AKN/ACN (Anti - Capitalist Network), działającą od kilku lat w Europie Zachodniej. Czasopisma stojące w obronie tych, którym dzieje się krzywda – robotników, pracowników najemnych, ludzi wykluczonych społecznie. Czasopisma niosące płomień walki z globalnym kapitalizmem.

Po otwarciu numeru na pierwszej stronie są dwa teksty pt. A call for convergence of national anti - capitalist struggles! i ACN/AKN political statement! W pierwszym z nich jest mowa o tym, z czym należy się zgodzić. Europa stanęła twarzą w twarz przeciw kapitalizmowi, będącemu w opinii redaktorów „Resista” globalnym i totalitarnym systemem społeczno – gospodarczym. Efektami kapitalizmu stały się rosnąca bieda, bezrobocie, korupcja polityków, wyzysk pracowników, eksmisje na bruk i chciwość wielkich tego świata, które w opinii kapitalistów są uważane nie za kryzys, ale załączek budowania nowej struktury społecznej. Wskazano, iż kapitalizm to system dominacji wąskich elit politycznych nad narodami i obywatelami, których się wyzyskuje. Natomiast drugi tekst stanowi swego rodzaju manifest polityczny, w którym ACN/AKN będzie dążył w swoich działaniach do: 1) odrzucenia kapitalizmu, imperializmu i globalizacji, 2) odrzucenia wszelkich form wyzysku, dominacji i zysku oraz odrzucenia konsumpcjonizmu, 3) konieczności skierowania gniewu społecznego do konfrontacji z Systemem przez propagandę, akcje informacyjne, ulotki, plakaty, sieć i tworzenie oddolnej alternatywy wobec kapitalizmu, 4) wezwania ludzi pracy do protestów, demonstracji solidarnościowych, nieposłuszeństwa obywatelskiego oraz wspierania oddolnych ruchów społecznych, walczących o prawa pracownicze, 5) oparcia swoich działań na pełnej autonomii i decentralizacji.

W głosie redakcyjnym podjęto temat rozpoczęcia petycji Powszechnej Konfederacji Pracy ws. ośmiu byłych pracowników firmy Goodyear/Amiens, którzy 12 stycznia 2016 roku zostali skazani przez sąd na karę 9 miesięcy bezwarunkowego więzienia za oprowadzenie dwóch menadżerów po terenie firmy w czasie 30 godzin (to działanie było reakcją na plan przedłużenia czasu pracy i równoległe obniżki płac dla pracowników, jaki chciała wprowadzić dyrekcja firmy celem rozwiązania problemów ekonomicznych). Media komentowały postępującą radykalizację ruchu związkowego i bierną politykę rządu Manuela Vallsa, który nie chciał wrócić do konsultacji społecznych ze związkowcami.

Później przechodzimy do tekstów ujętych w trzech blokach tematycznych. Pierwszy blok, noszący tytuł Discussions, zawiera dwa teksty poświęcone teorii narodowego antykapitalizmu oraz sprawie warsztatów tkackich i ich znaczenia dla niemieckiego przemysłu stalowego (m.in. w kontekście rosnącej konkurencji stali z Chin oraz przepisów UE dot. ochrony środowiska i systemu handlu uprawnieniami do emisji). Drugi blok, zatytułowany A summary of militant struggles: What's going on around the world?, zawiera relacje z manifestacji antykapitalistycznej w Waren – Muritz, protestów związkowców w Brukseli z listopada 2015 i maja 2016 roku, strajku w Frankfurcie nad Menem (w związku z otwarciem nowej siedziby Europejskiego Banku Centralnego), akcji studentów i Anonymous w Londynie, strajku dokerów w Antwerpii z lutego 2016 roku czy manifestacji w Plauen z okazji Święta Pracy (organizowanej przez niemieckich nacjonalistów z Der Dritte Weg). Jest również tekst o strajkach hutników 11 kwietnia 2016 roku w Berlinie, Duisburgu i Zagłębiu Saary oraz ponownie poruszający problem niemieckiego przemysłu stalowego. Znajdziemy też artykuł poświęcony Polsce – dotyczący porozumienia z 19 kwietnia 2016 roku między Kompanią Węglową, Polską Grupą Górniczą a związkowcami (przewidującego m.in. zawieszenie „czternastek” w latach 2016 – 2017, fuzję większości kopalń działających w ramach Kompanii – z wyjątkiem kopalni Bolesław Śmiały i Sośnica, które miały pozostać samodzielne), a mającego w konsekwencji doprowadzić do restrukturyzacji polskiego górnictwa. W trzecim bloku tematycznym autorzy przyjrzeni się taktyce Czarnego Bloku z protestu w Frankfurcie nad Menem z 2015 roku oraz doświadczeniu, jakie zdobywali uczestnicy manifestacji związkowych w Brukseli w akcji bezpośredniej.

Ten numer „Resista” generalnie jest warty uwagi. 56 stron papieru, zawierających artykuły o tematyce pracowniczej, społecznej, antyglobalistycznej i antykapitalistycznej. Czasopismo okraszone prostą, robotniczą grafiką i zdjęciami z protestów. Teksty pisane są przez autorów specjalizujących się w danych sektorach pracy, wszystkie w języku angielskim (więc będą zrozumiałe dla czytelnika przeciętnie znającego ten język). „Resist” jest bardzo ważnym głosem, zmuszającym do refleksji nad bezpośrednią walką zwykłych ludzi o prawo do godnej płacy i godnego życia poprzez różne formy protestu (od akcji ulotkowych po masowe protesty i walki z policją).

Jan Trzcíński – „Rozmowa z Tomkiem jednym z organizatorów Festiwalu Orle Gniazdo”

Rozmowa z Tomkiem, jednym z organizatorów Festiwalu Orle Gniazdo.

Szturm: Czołem!

Tomek: Czołem!

S: Wiem, że organizujesz FOG od samego początku tego przedsięwzięcia. Czy mógłbyś - jako jedna z osób chyba najbliższych związanych z projektem - podsumować jakoś w skrócie te kilka lat?

T: Zbliżająca się, piąta już edycja Festiwalu Orle Gniazdo, jest świetnym okresem dla małego podsumowania. Poprzednie cztery wspominam bardzo dobrze. Nie tylko czas ich trwania (czyli w zasadzie trzy dni) w roku, ale również praktycznie całoroczne okresy przygotowań. Udało się nam stworzyć pierwszą regularną i profesjonalną imprezę plenerową z muzyką tożsamosciową, na którą rok w rok przyjeżdża coraz więcej osób. Podnieśliśmy poziom naszej krajowej sceny, sprowadziliśmy do Polski wiele popularnych zespołów z zagranicy. Co prawda było po drodze kilka problemów, genralnie jednak udało się doprowadzić wszystko do szczęśliwego końca. Zdecydowanie widać poprawę w stosunku do lat poprzednich, zarówno pod względem popularności, "oficjalności", oraz ilości koncertów i imprez tożsamościowych. Sądzę, że w dużej mierze to właśnie FOG stał się machiną napędową tych zmian.

S: Wspomniałeś też o problemach. Masz na myśli kwestie finansowe, czy pojawiają się także inne, organizacyjne przeszkody?

T: Największym naszym problemem jest to, iż wciąż impreza jest deficytowa. Rok w rok dokładamy do Festiwalu. Chociaż dzięki zwiększającej się frekwencji kwoty te maleją, to wciąż jesteśmy na minusie (plus oczywiście długi, które spłacamy z poprzednich lat). Drugim z problemów były problemy z prawem i donosami lewactwa, zwłaszcza na pierwszej i drugiej edycji. Zdołaliśmy jednak większość z tych problemów przezwyciężyć różnymi metodami, o których nie będę się tu niestety rozpisywał ;) . Nie sposób również pominąć działań naszego Zespołu Prawnego, który wygrał kilka spraw i kolejne toczy, zyskując niezwykle potrzebne doświadczenie w różnych historiach związanych z naszym ruchem. Cóż jak to mówią - jest ryzyko jest zabawa! Jednak głównym problemem wciąż pozostaje kasa.

S: Niepokojące. Czy istnieją zatem poważne zagrożenia dla samego, dalszego funkcjonowania imprezy?

T: Tak, to ryzyko ciągle istnieje. Ostatnio próbujemy problem finansowy rozwiązać poprzez zakup rzeczy, które dotychczas wynajmowaliśmy za naprawdę ciężkie pieniądze. Na pierwszy ogień idzie festiwalowy namiot. Prowadzimy na niego internetową zrzutkę. Jednak widmo bankructwa wciąż jest realne ponieważ nie jesteśmy żadnymi krezusami, tylko grupą zwykłych ludzi, mających zwyczajne pensje. Oczywiście pomagają nam wielu Przyjaciół wpłacając datki na Fundację Orle Gniazdo lub w inny sposób za co serdecznie dziękujemy. Swoją drogą na pierwszej edycji lokalna policja podejrzewała, że mamy jakiegoś bogatego sponsora z kręgów politycznych :). Otóż nie mamy a FOG, jeśli frekwencja nie wzrośnie, może się w kolejnych latach nie odbyć.

S: Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Pisałem już kiedyś o tym, że FOG to jedna z takich inicjatyw, które de facto biorą udział w budowie "nowego nacjonalizmu" w Polsce. Na "Orlim" spotykają się aktywiści i sympatycy idei z różnych krajów Europy i jakoś nie słychać o spięciach.

T: Tak w istocie jest. Z roku na rok przyjeżdża coraz więcej gości z całej Europy. Prowadzone są różne dyskusje - czasem lekkie, czasem poważne, ale wszystko w ramach festiwalowej, przyjaznej atmosfery. Osobiście na imprezie poznałem wielu ludzi z zagranicy i była to świetna okazja by dowiedzieć się o aktualnej kondycji ruchów narodowych na naszym kontynencie. Według moich informacji na imprezie gościli już Czesi i Słowacy (zwykle najliczniejsza grupa), Węgrzy, Włosi, Rosjanie, Francuzi, Białorusini, Serbowie, Anglicy, Niemcy, Łotysze, Norwegowie, a nawet Amerykanin (z polskimi korzeniami). W tym roku wraz z występującymi zespołami z pewnością do tego grona dołączą Szwedzi i Finowie liczymy również na przybycie naszych nowych kolegów z Bułgarii, u których gościliśmy w lutym.

S: Cóż, ja osobiście myślę, że FOG mógłby faktycznie stać się kiedyś "największym festiwalem muzyki tożsamościowej w Europie". Całej Europie. Do tego trzeba by było chyba jednak powszechnej mobilizacji "polskiej wiary"?

T: Zdecydowanie. Dla mnie to smutna sprawa, że mimo iż nasz ruch organizuje największą manifestację narodową w Europie, gromadzącą ponad sto tysięcy ludzi, na Festiwal nie przyjeżdża więcej niż tysiąc osób. To nie jest nawet kwestia ściągania sympatyków, których jest coraz więcej, ale sami aktywiści, członkowie organizacji i różnych grup oraz niezrzeszeni mogli by spokojnie moim zdaniem zrobić kilkutysięczną frekwencję. Skoro potrafi rok w rok na FOG przyjeżdżać z

jednego czeskiego regionu praktycznie tyle samo osób co z największych polskich organizacji narodowych - to ta sytuacja mówi sama za siebie...

S: Rozumiem. Co do zaś samego miejsca, w którym odbywa się FOG - dlaczego właśnie woj. łódzkie? Dlaczego Kępa koło Żytna?

T: Na pierwszej edycji wymówiono nam ośrodek (mimo podpisanej umowy) pod wpływem nacisków z lokalnych lewicowych władz oraz służb - spowodowanych donosami lewactwa - więc pozostaliśmy "na lodzie". Po kilku latach wygraliśmy sprawę, ale w tamtym czasie było nam ciężko, ponieważ na dwa czy trzy tygodnie przed imprezą zostaliśmy bez miejsca. Odwiedziliśmy wiele miejsc, byliśmy gotowi nawet kupić ziemię - kiedy z pomocą przyszedł nam jeden z kolegów ze starych czasów, posiadający działkę na tej głębokiej polskiej prowincji. Dołączył do grona organizatorów użyczając swojego terenu. Miejsce okazało się idealne zarówno dla naszych potrzeb, jak i magiczny klimat polskiej wsi zrobił swoje. Jesteśmy na swoim, na kilku hektarach Wolnej Polski :) .

S: Wśród uczestników poprzednich edycji "Orlego" krążą legendy o życzliwości i gościnności mieszkańców tamtych okolic. Nie ulega chyba wątpliwości, że nacjonalizm dla nich nie taki straszny, jak im go Michnik maluje.

T: Rzeczywiście. Miejscowi z Kępy od zwsze byli nastawieni do nas pozytywnie, zresztą wielokrotnie umacnialiśmy te dobre stosunki :). Oczywiście gmina liczy kilka tysięcy mieszkańców i nieprzychylni również się znajdują ale generalnie podejście jest dobre, zwłaszcza że gościmy tam już piąty raz. Niektórzy bardziej przedsiębiorczy mieszkańcy organizują noclegi, śniadania i inne potrzebne dla uczestników rzeczy. Miejscowy handel również uzyskuje coroczny zastrzyk gotówki od naszych uczestników, którego normalnie by nie miał.

S: Z tego co wiem organizatorzy FOG stale urozmaicają festiwal o nowe atrakcje. W zeszłym roku mieliśmy turniej piłki nożnej dla przybyłych ekip nacjonalistów, pokazy walk rekonstruktorów historycznych... Czy V edycja FOG szykuje coś zupełnie nowego dla swych uczestników?

T: W tym roku postaramy się by znów pojawiły się te atrakcje, które były rok temu. Postaramy się również postawić na jeszcze więcej sportu - dołożymy turniej siatkarski, oraz więcej zabaw siłowych. Odbędzie się również pokaz pierwszej pomocy. Przygotowane będzie specjalne miejsce

dla najmłodszych uczestników Festiwalu z grami i zabawami. Być może uda się również zorganizować więcej wykładów.

S: Swoją drogą - jakiej Ty chciałbyś (zakładając optymistycznie, rzecz jasna, a więc odrzucając gorszą ewentualność) przyszłości dla festiwalu? Czy widziałbyś go jako imprezę dla wszelkiej maści patriotów i nacjonalistów, czy jednak dążyłbyś do nadania mu bardziej "zamkniętego" charakteru?

T: Ogólnie chciałbym, żeby muzyka tożsamościowa weszła do polskiej kultury szerokiej. Jednak, jako iż jesteśmy realistami, satysfakcjonowałoby nas na początek gdyby wszyscy a przynajmniej połowa tych "już zaangażowanych" w działalność narodową, regularnie przyjeżdżała na FOG.

S: Przejdźmy do chyba najważniejszego tematu. Muzyka. Część wykonawców została już ogłoszona - lista wydaje się być konkretna jak co roku. Domyślam się jednak, że wciąż masz jakieś tajemnicze asy w rękawie?

T: Jako, że wywiad jest robiony pod koniec kwietnia - pojawią się jeszcze kolejne zespoły, jednak powoli domykamy listę i wkrótce ruszamy z plakatem i ostatnią fazą promocji. W tym roku z racji jubileuszu - pięciolecia Festiwalu, sprowadziliśmy zespoły, które dały doskonałe koncerty na poprzednich edycjach - węgierski Romantikus Eroszak (od wielu lat ich płyty sprzedają się lepiej w ich kraju niż większości gwiazd mainstreamowego popu czy rocka), włoskie KMOVII - ex Ultima Frontiera, grająca specjalnie dla nas jedyny koncert w tym roku, oraz znane w całej Europie niemieckie Kategorie C, które rok temu stworzyło świetną atmosferę.

S: Co sądzisz o rosnącej popularności muzyki tożsamościowej? Moim zdaniem to zjawisko ma bezpośredni związek z falą niezadowolenia i radykalizacji nastrojów, jaka przechodzi przez Europę.

T: Z pewnością. Radykalny przekaz muzyczny i kontkultura musi być jednym z czynników, które obudzą nasz kraj, kontynent, Polaków i innych białych Europejczyków. Albo stawimy opór cywilizacji śmierci i wrócimy do tradycji kiedy nasz region dominował w świecie pod każdym względem albo zginiemy. Defend Europe!

S: Stety, czy niestety - żyjemy w dobie powszechnego internetu, więc nie mógłbym nie wspomnieć o wirtualnych inicjatywach popularyzujących taką muzykę i postawy. Polski kanał w serwisie Youtube "Muzyka tożsamościowa", czy międzynarodowy "EuropeanUnity" zapewne są Ci znane?

Wykonują naprawdę kawał dobrej roboty, także w kwestii integracji nacjonalistów z różnych zakątków Matki Europy.

T: Oczywiście na bieżąco śledzimy internetowe serwisy i strony zajmujące się tematem muzyki tożsamościowej zarówno polskie jak i europejskie. Roboty kanału "Muzyka Tożsamosciowa" z tłumaczeniem teledysków zagranicznych jest świetna! Warto tu także wspomnieć o stronach takich jak Muzyka Włoskiej Prawicy poświęcona bogatej twórczości z tego kraju czy najdłużej istniejącym profilu na FB - Nasza Scena, zawsze pełnym aktualności i nowości. Ja osobście żałuję, iż zakończył swoją działalność bardzo ciekawy zine OKOP, może z czasem coś pojawi się również w jego miejsce. Dobrze, że serwisy informacyjne i pisma "z naszej strony" coraz bardziej interesują się naszą muzyką i powstają w nich muzyczne działy. Zwłaszcza festiwalowe patronaty do których należy Wasze pismo - Szturm!

S: A jaką rolę w popularyzacji "dobrej muzyki" mogłoby odegrać nasze pismo? O ile (a mam taką nadzieję) zdarza Ci się nas czytywać - czy obraziłbyś się, gdyby Szturmowcy również położyli cegły pod ten fundament? (śmiech)

T: Czytuję nawet dość regularnie. "Kącik muzyczny" i promocja zespołów oraz koncertów to moim zdaniem dobra droga dla mediów takich jak Wasze. Doceniamy wkład i promocję jaką robicie i jesteśmy zarówno my jak i zespoły wdzięczni!

S: Cóż - wyzwanie zostanie podjęte. Zobaczymy się na V edycji FOGu, która odbędzie się już...?

T: 14-16 lipca 2017, Kępa koło Żytna województwo łódzkie! Musicie tam być! FOG to przygoda, przeżyj ją razem z nami!

S: Ja również zapraszam i życzę powodzenia w realizacji projektu. Czy chciałbyś Tomku przekazać coś jeszcze ważnego naszym czytelnikom?

T: Zapraszamy na Festiwal, zarówno stałych bywalców jak i wszystkich, którzy pierwszy raz chcieliby pojawić się na Kępie! Przybywajcie Przyjaciele :)

S: Dziękuję za rozmowę. Trzymaj się!

T: Czołem i również bardzo dziękuję za możliwość wypowiedzi na łamach Szturmu.

Jako redakcja zachęcamy do dodatkowego wsparcia inicjatywy Festiwal Orle Gniazdo poprzez chociażby wzięcie udziału w zbiórce pieniędzy, które są temu przedsięwzięciu bardzo potrzebne:

<https://pomagam.zrzutka.pl/namiot-na-orle>

Jan Trzcíński - „Słowo o ekologii, czyli pytania do Greenline Front Poland”

Temat ekologii był swego czasu zwykle pomijany przez aktywistów i organizacje nacjonalistyczne w naszym kraju - ta dziedzina społeczna została w Polsce niemal całkowicie przejęta przez środowiska lewackie, anarchistyczne, które bezustannie ruszają z kolejnymi inicjatywami mającymi na celu ochronę naszego środowiska naturalnego. Przy czym - warto zaznaczyć - promują niestety swoje ohydne ideologie i smutną wizję "kolorowego świata". Europejska "scena narodowa" już dawno temu podjęła odpowiednie kroki w celu przysłużenia się Matce Naturze - w Polsce nacjonaści oddali niestety to pole lewakom, nie licząc sporadycznych akcji ze zbiórkami pieniędzy na schroniska etc.

W kontekście niedawnych, przykrych wydarzeń na skalę całego kraju (np. haniebne ekscesy ministra Szyszko), troska o ojczystą ziemię zaczyna stawać się jednak powszechniejsza. Narodowcy z czołowych organizacji zaczynają występować do przodu z akcjami pro-ekologicznymi. Jednak zdecydowanym ewenementem tego przełomu w polskim ruchu jest niewielka grupa nacjonalistów, która poświęca swą działalność w całości wyłącznie sprawom Natury. Stowarzyszenie powstałe już w roku 2016 i będące swego rodzaju polskim oddziałem większej, międzynarodowej organizacji zrzeszającej nacjonalistów żywo zainteresowanych tematem ekologii. Dziś, specjalnie dla czytelników "Szturmu" - wywiad z liderem aktywistów Greenline Front Poland, znanym jako Rex.

Szturm: Czołem!

Rex: Sława Nacji!

S: Byłbym naprawdę wdzięczny, gdybyś wyręczył mnie w przedstawianiu Was i opowiedział coś o stowarzyszeniu, któremu przewodzisz. Oraz o celach, które mu przyświecają.

Rex: Pewnie - może na początek zacznę od tego, że raczej daleko nam do „stowarzyszenia”. Jesteśmy grupą nacjonalistów, którzy inspirując się innymi aktywistami z Europy postanowili wykazać się inicjatywą we własnym kraju. Osobiście nie jestem w GLF od początku jego istnienia w Polsce. Wysłałem kiedyś zapytanie do oddziału „International” z prośbą o materiały – książki, artykuły, grafiki, etc. W następstwie po jakimś czasie odezwał się do mnie jeden z członków na Festiwalu Orle Gniazdo, wiedząc, iż jestem zainteresowany współpracą. GLF na początku swojego istnienia w kraju nad Wisłą nie cieszył się zbytnią aktywnością - wstępując w ich szeregi myślałem,

że mają na koncie już coś naprawdę fajnego w zakresie przeprowadzonych akcji. Niestety do czasu mojego dołączenia GLF Poland było w fazie formowania się, która na dobrą sprawę nie skończyła się do teraz. Cele jakie sobie postawiliśmy to przede wszystkim zwrócenie uwagi polskich nacjonalistów na to, jak ogólnie pojęta Natura, a także dbanie o zachowanie jej równowagi powinny być ważne w ich ideologicznym życiu. Chcemy zarówno realnie wpływać na poprawę jakości środowiska i żyjących w nim stworzeń różnego rodzaju akcjami, od tych propagandowych, po bezpośrednie. Sam fakt, że ktokolwiek zechciał przeprowadzić z nami wywiad mówi, że raczej idziemy w dobrym kierunku.

S: Czy GLF Poland jest częścią większej, międzynarodowej organizacji?

Rex: I tak i nie. Tak, ponieważ działamy pod szyldem i nazwą czegoś co istnieje nie tylko w Polsce. Nie, bo jednak nie jesteśmy powiązani żadnymi formalnymi strukturami. Łączy nas pewna wspólna grupa poglądów – np. nie ma wśród nas miejsca na wzajemną nienawiść dyktowaną szowinistycznymi uprzedzeniami wobec innych narodów europejskich - jesteśmy paneuropeistami, bo wszystkim nam w takim samym stopniu zależy na dobrej sytuacji naszego kontynentu. Jesteśmy też w Europie związani luźnymi relacjami, kilka grup znam osobiście, z innymi jestem w stałym kontakcie w Internecie. Wymieniamy się nawzajem doświadczeniami, informujemy o sytuacji w naszych krajach, czy tak jak w przypadku Niemców, umawiamy się na wspólne akcje.

S: Istnieje jakiś zarząd centralny, czy raczej działa to na zasadzie autonomicznych ugrupowań?

Rex: Zarząd centralny jako taki nie istnieje, jednak istnieje pewna "wyróżniona" grupa ludzi, na którą składają się bardziej aktywni członkowie różnych ekip z naszego kontynentu, w tym między innymi ja. Zarządza ona między innymi domeną GLF, czy fanpage'em GLF International. Nie wygląda to jednak w ten sposób, że mówimy poszczególnym ekipom co mają robić.

W naszym wypadku, po pewnym, czasie brak kogoś kto złapałby wszystko za przysłowiowy "ryj", byłby zgubny, inicjatywa umarłaby w zarodku. Jako że byłem najbardziej aktywną osobą, co oprócz mnie zauważyli też inni i miałem minimalne predyspozycje do poprowadzenia tego, zostałem liderem. Jesteśmy chyba jedyną grupą, która ma oficjalnego lidera, przynajmniej z tego co mi wiadomo.

S: Macie na koncie kilka świetnie zorganizowanych akcji. Mógłbyś opowiedzieć, z wyniku której z nich jesteś najbardziej zadowolony?

Rex: Nie przesadzałbym z tą świetnością, było tych akcji kilka, lecz jeżeli z czystym sumieniem i bez zbędnej skromności miałbym odpowiedzieć Ci na to pytanie to nie potrafiłbym wymienić jednej, z której zadowolony jestem najbardziej. Te „widzialne” akcje nie były raczej czymś przełomowym, na pewno zbiórka fantów dla schroniska w Celestynowie była całkiem udana, jednak tak jak wyżej wspomniałem – to nie jest to co chcemy robić. Znaczą się, owszem, zbiórki dla schronisk chcemy wprowadzić jako pewną rutynę, (może co pół roku, zawsze na inne schronisko), jednak zdecydowanie celujemy wyżej. GLF na ten moment to grupa aktywistów, która działa jako jednostki rozsiadane po całym kraju. Nie robimy zdjęć worków na śmieci zgromadzonych przy każdym z naszych częstych wypadów do lasu w celu jego oczyszczenia, zatem uważam chwalenie się tym za niepotrzebne. Oprócz tego są jeszcze akcje innego rodzaju, że tak powiem... bezpośrednio.

S: To interesujące. Czy GLF Poland szykuje jakieś ogólnopolskie, pro-ekologiczne przedsięwzięcie w najbliższym czasie?

Rex: Na pewno będziemy mocno uderzać w propagandę - jest kilka celów, które sobie postawiliśmy na najbliższy rok. Między innymi kampania "antycyrkowa" (cyrk bez zwierząt), która zakończona będzie zbieraniem podpisów w poszczególnych miastach o zakaz wynajmowania terenu cyrkom, które w swoim repertuarze mają atrakcje związane ze zwierzętami, ale więcej o tym szerzej powiemy wkrótce. Oprócz tego w planach jest także zorganizowanie konferencji dla nacjonalistów, rozmowa i przedstawienie tak naprawdę powagi tematu zainteresowanym. Tak jak powiedziałem na wstępie, chcemy wprowadzić motyw ekologii „na salony nacjonalizmu” i w stałym repertuarze będzie mocna propaganda.

S: Czekamy z niecierpliwością, zwłaszcza, że zapewne Szturmowcy również zadeklarują pomoc. Ale zapytam jeszcze - czy myślisz, że jest szansa na to, by Wasze akcje przebiły się jakoś do "mainstreamowego" obiegu informacji? Nasze środowisko zwykle niestety jest pomijane w mediach.

Rex: Myślę, że tak, z bardzo prostego powodu – otóż nic mainstreamowi nie staje tak w gardle jak właśnie nacjonalizm. Swego czasu, gdy jeden z oddziałów ONRu zabrał psy ze schroniska na spacer, Gazeta Wyborcza (zdecydowanie mainstreamowe pismo) wyraziła wielkie oburzenie na widok kogoś, kogo ma za "faszystę" w towarzystwie słodkiego pieska, to przecież burzy cały ich

obraz! Jestem prawie pewien, że tak samo będzie z nami, po pierwszej większej akcji, chociaż trochę zrobi się o nas głośno, tym bardziej, że mamy zamiar regularnie „pojawiać się” na murach i ulicach miast.

S: Rozumiem. Czy jako GLF jesteście otwarci na nabór nowych aktywistów, czy raczej staracie się pozostać hermetycznym, zamkniętym oddziałem?

Rex: To dosyć ciężkie pytanie, bo tak jak już wspomniałem - nie wiemy do końca jakiej formy od siebie samych oczekujemy, to wciąż się kreuje. Na pewno będziemy chcieli zostać jak to ładnie nazwałś oddziałem zamkniętym, jednak jak najbardziej jesteśmy zainteresowani współpracą z wartościowymi ludźmi, których serdecznie zapraszamy do odzywania się do nas na fanpage'u. Uprzedzam tylko, że nie chcemy w swoich szeregach leniwych kurwiów, chcących lansować się należeniem do jakiejś ekipy i oczekujemy realnego zaangażowania.

S: Powiedz jeszcze - jaka idea jest najbliższa sercu działaczy GLF? Pewne "autorytety prawicy" twierdzą, że nie można być jednocześnie nacjonalistą i troszczyć się o Naturę.

Rex: Nie jestem żadnym autorytetem, a tym bardziej autorytetem prawicy - uważam jednak, że nacjonalizm niewiele ma wspólnego z prawicą, co dosyć widocznie ukazuje polska scena polityczna. Na tą chwilę PIS jest dużo bliżej nacjonalizmowi, przez swoje ustawy socjalne, takie jak 500+, niż prawicowy oszołom Korwin, czy kolejny pajac - Ziemkiewicz (szczerze gardzę). Dlatego też szafowanie terminem „nacjonalizm” przez takich ludzi szczerze mnie boli, na to co mówią te wątpliwe autorytety mogą odpowiedzieć tylko „A ja mam to w dupie”.

Jeżeli chodzi o ideę, sprzeciwiamy się antropocentrycznemu postrzeganiu świata. Człowiek jest dla nas jego częścią, a nie centrum - mając to w świadomości żyjemy, czerpiąc oraz dając Naturze.

Więcej w tym temacie na pewno wkrótce napiszemy.

Praktycznie każdy z nas dołączył jako autonomiczny nacjonalista (swoją drogą serdecznie polecam wywiad z jednym z założycieli ruchu autonomicznych nacjonalistów w Polsce, a także założycielem witryny Autonom.pl na fanpage'u na facebooku – Kolyada!) i tak też spełniamy się poza działalnością w GLF, która tak naprawdę jest tylko jedną składową naszego aktywizmu. Co za tym idzie mamy poglądy mocno narodowo socjalistyczne. Głębiej mogę wypowiadać się jedynie za siebie, na pewno jednak nie ma wśród nas osób ideowo „jałowych”.

S: Na Waszej stronie można zobaczyć logo z symboliką dawnych, germańskich run. Czy ma to jakieś szczególne znaczenie w kontekście Twych wcześniejszych słów?

Rex: Naszą symbolikę w pełni wytłumaczyłem w naszym manifeście, który możecie znaleźć na stronie Autonom.pl, nie chciałbym się powtarzać, bo wiem, że nie powiedziałbym tego lepiej niż zawarłem to tam, a cytować raczej nie ma co, stąd też jeżeli mógłbym prosić Cię o zalinkowanie pod wywiadem... byłbym zobowiązany.

S: Jasne. Zbliża się sezon letni, wakacyjny - czy Twoim zdaniem wiąże się to z jakimś szczególną potrzebą aktywizmu na polu ekologii, tudzież wzmoczoną czujnością wszystkich osób, którym cele GLF również są bliskie?

Rex: Sezon letni to przede wszystkim czas, w którym ludzie częściej wychodzą z domów, swój wolny czas spędzają na świeżym powietrzu etc etc. Stąd też ogromną potrzebę widzę w walce z nazwijmy to – "śmieciarstwem". Nie rozumiem skąd się to u ludzi bierze, z lenistwa, złościwości, czy czystej głupoty? Jednak zostawianie po sobie mnóstwa śmieci w miejscach wypoczynku jest istną zmorą. Ogromną potrzebę widzimy, więc w wzmoczeniu ostracyzmu wobec osób, które śmiecą, naprawdę bardzo ważne jest pokazywanie naszej niechęci i niezadowolenia wobec śmiecenia. To jest w końcu niszczenie czegoś co jest dla nas wszystkich wspólne - a np. ja osobiście bardzo nie lubię kiedy ktoś niszczy coś mojego.

S: Nawiasem mówiąc - co skłoniło akurat Ciebie do podjęcia tego typu działalności?

Rex: Urodziłem się w niewielkim miasteczku otoczonym z każdej strony Naturą. Przed moim domem płynie rzeka, pięć minut drogi mam do jeziora, kolejne pięć do lasu. Wychowałem się w szacunku i miłości do tego skąd jestem i kim jestem. Od dziecka wpajano mi, że nie żyję na tym świecie sam, że jestem zależny od innych i inni są zależni ode mnie. Myślę, że sposób w jaki mnie wychowano miał ogromny wpływ na moje późniejsze wybory, między innymi na podjęcie się tego typu działalności.

S: Na zakończenie naszej rozmowy - jak to jest być pionierem jakiejś formy aktywizmu na całej "polskiej scenie"?

Rex: Nie jesteśmy wcale pionierami! Na łamach Waszego miesięcznika ukazał się artykuł przesympatycznej koleżanki Marty Niemczyk, w którym możemy się dowiedzieć, że w Polsce temat ekologii nie zawsze i nie wszystkim ze środowiska "około narodowego" stawał w gardle. Ponadto Autonomiczni Nacjonaliści, czy organizacje takie jak Młodzież Wszechpolska lub Obóz Narodowo Radykalny też mają na swoim koncie akcje o charakterze ekologicznym, sprzątanie lasów, czy (bardzo mocno szanuję i wspieram) walkę z zanieczyszczeniem Warty w Poznaniu. Na pewno też będziemy robić coś w tym temacie w najbliższym czasie, także polecam być czujnym. Chyba, że pytasz się jak to jest być organizacją nacjonalistyczną o zadaniach stricte ekologicznych... Wtedy odpowiem, że ciężko. Ciężko dlatego, że w Polakach dosyć mocno zakorzeniony jest stereotyp: ekologia – szuria. Ekologię postrzega się przez pryzmat jakichś dużych organizacji takich jak WWE, czy Greenpeace, które mają na koncie różne krzywe akcje, nieczyste konta etc i ktoś, komu szczerze zależy na tym co go otacza z każdej strony i racjonalnie podchodzi do ochrony tego otoczenia, nie jest odbierany zbyt pozytywnie, nawet, albo raczej zwłaszcza w naszym środowisku. Mamy nadzieję, że to się niedługo zmieni. I tak już widać mocny przełom, więc będzie tylko lepiej!

S: Dzięki za te kilka wyczerpujących odpowiedzi, trzymaj się.

Rex: Również dzięki za tych kilka ciekawych pytań, mam nadzieję, że nie zakręciłem się za bardzo i ktoś kto chciał się o nas dowiedzieć czegoś więcej będzie zadowolony. Jeżeli pozwolisz to chciałbym jeszcze raz przypomnieć, że jesteśmy na facebooku oraz na instagramie! Sława!

<http://autonom.pl/?p=17613> - manifest GLF Poland

Z liderem GLF Poland rozmawiał Jan Trzeciński